NR 15 (91)
ROK III

TYDZIEŃ

18.IV.1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



FOT. LASKOWSKI – POZNAŃ

ZAPRASZAJĄC DZIECI CAŁEJ POLSKI DO UCZESTNICTWA W NASZYM KONKURSIE: NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA", PRZYPOMINAMY, IŻ OSTATECZNYM TERMINEM NADSYŁANIA ZDJĘĆ JEST 1 MAJA R. B.

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"
NASZ WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY


156 Renata Wójcik (Wisła) gotowa dać buzi


118. Bohdan Górnicki (Modlin)




181 Jacek Konarski (Kraków) motocyklista


172 Henia Topczewska (Chełm Lubelski)



151 i 152. Jadwiga i Wojciech Pawluk (Cieplice).



163 i 164 Zdziś i Kryś Waksmundzcy (Kraków)

Z CYKLU: POZNAJEMY DZIECI CAŁEGO ŚWIATA


182 Elżunia Tyczyńska (Prudnik)


184 Marysia Blaszyńska jest amatorką lodów


193. Michaś bardzo głodny (Warszawa). fot. Zubrzycki


157 Hania Radyno (Przemyśl) imponuje swą powagą


167 Terenia Tuszyńska (Bydgoszcz)


161 Leszek Wawro (Prudnik)


186 Marzenia Zbyszka Herminga spełniły się


176 Czesław i Cecylia Wojdyło (Świecie n. W.)


179 Andrzej Rogoziński (Biała Podlaska)


159 Rysio Spławski (Opole) zaprawia się do konnej jazdy


154 Wojtuś Herman (Wałcz)



187 i 188 Jadzia i Jerzy Ostaszewscy (Wasilków)


174 Jacek Sempoliński na emigracji


173 Lucjan Jezierski (Łowicz)


126. Monika Ewa Łebkowska (Kutno)


162 Wojtuś Kot (Radoryż Kościelny)


178 Dorotka Zgolanka na plaży


185 Marek Gozdek mówi dzień dobry mamusi


170 Hania Dziurówna (Mysłakowice)


183 Jola Morelewska (Chełm Lubelski)

SPÓŁDZIELCZOŚĆ
NA NOWYM ETAPIE

DRUGI Sejmik Spółdzielczy w Polsce Ludowej — tak bowiem nazwało się zgromadzenie w dniu 3 kwietnia br. w Warszawie naczelnych organów Samorządu Spółdzielczego, a więc Rad i Zarządów Związku Rewizyjnego Spółdzielni, Związku Gospodarczego Spółdzielni „Społem" i Banku Gospodarstwa Spółdzielczego — stanowi ważną datę w historii odrodzonej spółdzielczości polskiej.

Jest on zakończeniem pierwszego okresu ruchu spółdzielczego w Odrodzonej Ojczyźnie, okresu zapoczątkowanego kongresem lubelskim. Przeprowadzona wówczas unifikacja przyczyniła się do szerokiego rozwoju organizacyjnego i szybkiej odbudowy po zniszczeniach wojennych. Pozwoliło to spółdzielczości na odegranie podstawowej roli w zakresie rozdziału artykułów reglamentowanych, ściągania świadczeń rzeczowych oraz poważnej roli na odcinku walki ze spekulacją.

Ale na tle dotychczasowego rozwoju ruchu spółdzielczego ujawniały się i niedomagania. Nierównomierny rozwój centrali gospodarczej i spółdzielni terenowych, zbytnia centralizacja działalności gospodarczej, słaby rozwój spółdzielczości na wsi, oto najważniejsze z tych niedomagań. Zwłaszcza zaniedbanie w rozwoju spółdzielczości wiejskiej spowodowało niewłaściwy asortyment towarów w spółdzielniach powszechnych i nie pozwoliło na wypełnienie tak ważnego zadania ruchu spółdzielczego, jakim jest zorganizowanie wymiany między wsią i miastem.

NIEDOMAGANIA te przy równoczesnej stabilizacji życia gospodarczego i wkroczenia na drogę gospodarki planowej, która pociągnęła za sobą potrzebę ścisłego powiązania działalności gospodarczej spółdzielczości z działalnością gospodarczą państwa i zwrócenia specjalnej uwagi na rozwój spółdzielczości wiejskiej — stworzyły konieczność poddania rewizji dotychczasowej struktury.

Zmiany struktury zostały zapoczątkowane uchwałami Rady Głównej ZRS w lipcu roku ub. Pełny swój wyraz znalazły jednak w uchwalonych na II listopadowym Zjeździe Delegatów „Społem" tezach w sprawie zmian struktury spółdzielczości. Zmiany te poszły w 2-ch kierunkach. Jeden z nich dotyczył ujednolicenia spółdzielczości na wsi, drugi reorganizacji ogniw centralnych w kierunku ściślejszego powiązania między spółdzielniami branżowymi a ich nadbudową w postaci central i w kierunku ściślejszego powiązania gospodarki spółdzielczej z planową gospodarką państwową.

WPROWADZANIE w życie wspomnianych uchwał szło trzema torami. Następowała przeto przebudowa struktury spółdzielczości na wsi, wewnętrzne zmiany organizacyjne w ZRS i ZGS „Społem" pod kątem nowej struktury spółdzielczości wiejskiej oraz przygotowywanie aktów prawnych.

Tematem obrad Sejmiku było właśnie podsumowanie dotychczasowych prac reorganizacyjnych oraz zatwierdzenie przygotowanych dekretów. Akcja unifikacyjna spółdzielczości na odcinku wiejskim została właściwie zakończona. Prawie wszystkie spółdzielnie spożywców, działające na wsi zostały bądź przyłączone do Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", bądź przekształcone na nie tam, gdzie gminnych spółdzielni nie było. Powstały również w 90 procentach Powiatowe Związki Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", stanowiące nadbudowę gospodarczą i organizacyjną na szczeblu powiatu. Przeprowadzono wewnątrz ZRS i ZGS „Społem" wydziałowe zmiany, wynikające z reorganizacji spółdzielczości wiejskiej, zmiany dokonywane pod kątem tworzenia nowych central branżowych. Przygotowano wreszcie projekt statutów: Centralnego Związku Spółdzielczego, dwuramiennych central branżowych oraz dekrety o centralach spółdzielczo - państwowych i przedsiębiorstwach państwowo - spółdzielczych.

ZAGADNIENIE powiązania spółdzielczości z planową gospodarką państwa znalazło swój wyraz w tym, że centrale spółdzielcze otrzymują dyspozycje gospodarcze od odpowiednich resortów państwowych. Natomiast w zakresie działalności rewizyjnej, organizacyjnej, szkoleniowej i propagandowej podlegają centrale branżowe CZS, który ma prawo zatwierdzania członków Zarządów Central spółdzielczych, kierujących pracami rewizyjnymi. Prawo zatwierdzania członków wydziałów rewizyjnych Central zastrzeżono dla CZS również w odniesieniu do central spółdzielczo - państwowych.

Sejmik, przyjmując przedłożone projekty dekretów i statutów, dokonując wyboru Naczelnej Rady Spółdzielczej i Komisji Organizacyjnych trzech podstawowych central spółdzielczych zakończył właściwie zapoczątkowane w lipcu ub. r. prace nad zmianą struktury spółdzielczości. Obecnie pozostaje tylko przedłożenie przyjętych projektów czynnikom rządowym i ustawodawczym w celu nadania im mocy prawnej.

W przyjętej rezolucji Sejmik stwierdził, że przeprowadzone zmiany strukturalne stanowią podstawę do realizacji zadań ruchu spółdzielczego. Główne z tych zadań, to wyzwolenie inicjatywy szerokich mas, to wiązanie z planową działalnością Państwa drobnych gospodarstw indywidualnych na wsi i gospodarki rzemieślniczej w mieście, to podnoszenie tych gospodarstw na wyższy poziom, to ujęcie obrotu towarowego między wsią i miastem i zaopatrzenie mas pracujących w mieście w artykuły codziennego użytku w szlachetnej rywalizacji z handlem państwowym oraz w walce z elementami spekulacyjnymi.

Sejmik wyraził przekonanie, że „przy właściwym powiązaniu z planową gospodarką Państwa Ludowego, przy aktywnym udziale partii demokratycznych, spółdzielczość stanie się dla szerokich mas prawdziwą szkołą społecznego gospodarowania".

Ruch spółdzielczy wkracza obecnie w nowy okres swej pracy.

SĄ JESZCZE ŚWIADKOWIE

Międzynarodowy Dzień Więźnia Politycznego to manifestacja ludzi, którzy system hitlerowsko - faszystowski w jego najbardziej nagiej i pełnej niefałszowanej kłamstwem postaci bezpośrednio na sobie przeżyli. Cały świat był zresztą przez lata wony bez pośrednim, albo pośrednim choćby tylko świadkiem praktyk hitleryzmu.

Zdawało się wówczas, że jego prawda, wstrząsająca prawda dna ludzkiego stała się własnością wszystkich. że ludzkość raz i na zawsze wydała wyrok. Lżej nam było trwać i czekać, skorośmy byli pewni, że sprawiedliwość nierychliwa przecież nadejdzie z dniem zwycięskiego zakończenia wojny. Że zbrodnia i hańba tak wielka będzie raz na zawsze starta, jak głowa jadowitego gada.

Ta wiara pozwalała żyć i przetrwać. Pozwoliła przetrwać i tym, którym sądzone było wyjść na wolność po doświadczeniu ziemskiego piekła. Różnymi drogami przenikały do nich — za druty i do kazamat słowa mężów odpowiedzialnych za losy narodów. Słuchali tych słów jak ewangelii. I były to słowa jednoznaczne. Świat nie spocznie dopóki pozostanie na ziemi bodajby ślad hańby hitleryzmu. Wojnę musimy wygrać. Po to — żeby wytępić raz na zawsze największą w dziejach ludzkości zbrodnię.

Bywa tak, że ludzie różnych ras i języków, różnych kultur i różnego sposobu życia potrafią zjednoczyć się w jednej myśli i dążeniu. Bywa tak w momentach, kiedy poruszone zostają bądź obrażone najbardziej wspólne, najgłębiej ludzkie struny. Ten moment nastąpił. Tak się zdawało. Najpiękniejszy w pośród najbardziej czarnej nocy.

Mogliśmy być komunistami i liberałami. Marksistami i Katolikami. Mahometanami i Kalwinami. Anglosasami, Galijczykami, Żydami i Słowianami. Poczuliśmy się ludźmi wobec czegoś, co przestało być ludzkie i co w imię człowieczeństwa bezprzymiotnikowego wygładzone ze świata być musiało. Mówiliśmy sobie: tak, czy inaczej, to już będzie za nami. Kwestia germańska i hitlerowska istnieć przestanie, tak długo przynajmniej, jak sięga pamięć pokolenia.

Nie liczyliśmy się tylko z jednym. Z krótką pamięcią niektórych mężów stanu, właśnie dźwigających odpowiedzialność za losy narodów i nie liczyliśmy się z możliwością cynizmu na miarę tamtych zbrodni. Że będzie wybaczone zaraz jutro. Że od jutra rozpocznie się handel i wczorajsi zbrodniarze staną się pozytywną pozycją w rachunkach oraz na szalach przeciwwagi nam, cośmy cierpieli i z wiarą walczyli. Kiedy jeszcze nie ostygły popioły w piecach Birkenau i w magazynach Oświęcimia nie zdążyły zbutwieć stosy odzienia zdartego z pomordowanych.

Świadczą nie tylko martwe scenerie wczorajszej makabry. Żyją i więźniowie. Polacy, Rosjanie, Żydzi, Francuzi, Belgowie, Jugosłowianie i Anglosasi — wielojęzyczna, wielobarwna międzynarodówka więźniów znaczonych swymi numerami. Ludzi, którzy przeżyli. Ludzi, którzy nie zapomną choćby tego pragnęli, którzy musieli uwierzyć w niewiarygodne i widzieć i przeżyć prawdę Oświęcimia, Dachau, Majdanka i Gross Rosen. Tym już nikt innej prawdy nie wyłoży, niż tę, którą widzieli sami. Ich nikt też do kompromisu nie nakłoni.

Mężowie stanu, wielcy politycy tego świata nie lubią, żeby im przypominano, co mówili wczoraj. Nie lubią stałych ocen, stałych wartości, jednakowej miary wobec zjawisk i faktów. Często nie lubią faktów i często ich sprzymierzeńcem jest krótka pamięć ludzka. I tym razem chcieliby, żeby o ich własnych słowach i przyrzeczeniach zapomniano. Ale były nie tylko słowa, ale i fakty. I są jeszcze tych faktów żywi, bezpośredni świadkowie. Właśnie „ludzie w pasiakach". Ci nie zapomną. I wbrew dyplomatycznej niepamięci wołają — „nie pozwalamy".

M.S.



Jak w filmie

W BOGOCIE, stolicy Kolumbii, rozegrały się sceny, które wyglądają, jak by wycięte zostały z awanturniczego filmu. W chwili, gdy w mieście odbywał się zjazd dyplomatów z całego kontynentu amerykańskiego, którzy zjechali się na konferencję panamerykańską, zamordowany został przywódca opozycji liberalnej. Zabójstwo było hasłem wybuchu rewolucji. W mieście wybuchły rozruchy, gmach rządowy, w którym odbywała się konferencja został podpalony, podobnie, jak wiele innych gmachów, przy czym spaliły się akta konferencji.

Wśród delegatów wybuchła panika. Jedni delegaci zamknęli się w ambasadach i poselstwach, delegacja argentyńska natychmiast odleciała do Buenos Aires, delegacja Stanów Zjednoczonych wyjechała na prowincję i schroniła się w jakimś małym miasteczku.

Ruch rewolucyjny przerzucił się na prowincję i przybrał rozmiary niespotykane, pociągnął bowiem za sobą blisko 500 ofiar w zabitych. Zwykle bowiem rewolucje amerykańskie, za którymi kryje się zawsze cień dolara, są bezkrwawe. Idzie tylko o ujęcie w ręce władzy, a nie o przelanie krwi.

Zdaje się, że i tym razem decydującą rolę w rewolucji kolumbijskiej odegrał dolar, gdyż liberalni rewolucjoniści pogodzili się z konserwatywnym rządem i utworzyli nowy wspólny rząd, a cała sprawa skończyła się zerwaniem stosunków dyplomatycznych z rządem ZSRR. (t)

Pakt Północny

PSYCHOZA antykomunistyczna na zachodzie posunięta jest tak daleko, że propozycję rządu radzieckiego pod adresem Finlandii, zawarcia paktu przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy nazwano z góry nową agresją. Sami Finowie inaczej na te sprawy patrzyli. Wszak Niemcy zaatakowali ZSRR przez Finlandię i ją samą do tego ataku wciągnęli. Nic przeto bardziej naturalnego ze strony rządu ZSRR, jak dążenie do zabezpieczenia przed ewentualnym nowym atakiem również tej granicy.

Pakt został zawarty na warunkach, przedstawionych przez rząd fiński, i oto ci sami, którzy krzyczeli wpierw o agresji radzieckiej, przyznają dziś, że pakt został podpisany na warunkach korzystnych dla Finlandii, nie przewidujących ingerencji ZSRR w wewnętrzne sprawy Finlandii, z zupełnym poszanowaniem integralności jej terytorium i samodzielności rządów, a co więcej, pakt skierowany jest wyraźnie przeciw agresji Niemiec, względnie ich sojuszników.

Alarmy ucichły. (t).

Bizony

NAZWA przybyła z Ameryki, która jest ojczyzną bizonów. Przetransplantowano ją do Europy i połączone strefy okupacyjne anglosaskie nazwano Bizonią, czyli ojczyzną bizonów. Można ją było równie dobrze nazwać Ameryką, wprowadza się bowiem w niej porządki amerykańskie.

Jak oświadczył ostatnio szef brytyjskiego zarządu wojskowego w Niemczech, gen. Robertson, należy się już liczyć z definitywnym podziałem Niemiec i z utworzeniem osobnego rządu niemieckiego, z osobnym parlamentem itp. W Berlinie odbyła się konferencja trzech szefów zarządów wojskowych zachodnich stref okupacyjnych, by Bizonię zamienić na Trizonię przez włączenie do stref okupacyjnych anglosaskich również strefy francuskiej. Wówczas doniero podział Niemiec byłby ostateczny i weszłyby one jako osobne państwo do zespołu państw zachodnio - europejskich.

Według ostatniego oświadczenia premiera rządu francuskiego, Schumana, Francja godzi się na przyłączenie swej strefy do stref okupacyjnych anglosaskich. W ten sposób uchwały poczdamskie o podziale Niemiec zostały obalone całkowicie przez mocarstwa zachodnie. (t).

Nazi

WIEMY wszyscy, że „nazi" to popularne określenie, używane w Niemczech i poza ich granicami dla oznaczenia hitlerowca. Okazuje się jednak, że wszyscy jesteśmy w błędzie. Znakomite wydawnictwo leksykonów Brokhaus, które pierwsze usunęło ze swoich szpalt wszelkie wzmianki o uczonych potępionych przez Goebbelsa ze względu na ich pochodzenie, to samo, które umieszczało pochwały urzędowych doktryn hitlerowskich, postanowiło wyprowadzić nas i cały świat z błędu.

W najnowszym wydaniu, które ukazało się niedawno za zgodą i pod skontrolowaniem przez anglosaskie władze okupacyjne czytamy:

NAZI — zdrobnienie imienia Ignacy (Łac. Ignatius).

A nam się zdawało, że to określenie dla małych Adolfów. (P)

Harun Al Raszid

BEZPOŚREDNIO po zakończeniu wojny władze amerykańskie zorganizowały misję, która oficjalnie zajmowała się poszukiwaniem grobów żołnierzy amerykańskich poległych na terenie Niemiec. W rzeczywistości misja ta zajmowała się badaniem postępów nauki niemieckiej nad energią atomową. W trakcie tych poszukiwań natrafiła na niejakiego Haruna al Raszida urodzonego w kalifacie Senftenberg w prowincji Brandenburg. Ten „arab" skupił w czasie okupacji we Francji cały zapas rzadkiego metalu toru jaki mógł zdobyć. Ponieważ tor jest pierwiastkiem radio-aktywnym a nazwisko wielkiego kalifa wydawało się conajmniej dziwne, amerykanie przeprowadzili bardzo dokładne dochodzenia. Rozwiązanie zagadki było godne bajek z „Tysiąca i jednej nocy". Raszid oczywiście nie był Raszidem a tor zakupywał z polecenia jednej z firm niemieckich, produkujących pastę do zębów. Firma ta miała przynajmniej tym razem, zupełnie pokojowe zamiary. (P)

Represje

W CZASIE słynnego już zatargu między środkowo - amerykańską republiką Guatemala a Wielką Brytanią doszło do demonstracji nad zatoką meksykańską. Podekscytowany tłum wywiesił nad gmachem Poselstwa Angielskiego flagę Guetemali i transparenty z napisami „Piraci w żakietach" „Śmierć Anglikom".

Anglicy nie mogli znieść tej zniewagi. Rozważali nawet poważnie możliwość wysłania swojej floty wojennej, wreszcie jednak zdecydowali się na przekazanie całego problemu Międzynarodowemu Trybunałowi Sprawiedliwości w Hadze. Złośliwi mówią, że przyczyną tego była groźba Guatemali wstrzymania zakupu szkockiej whiskey. (p)

Migawki przedwyborcze

W DNIU 18 kwietnia Włochy stają do wyborów w obliczu wielkiej propagandy amerykańskiej. Na tym tle doszło w Rzymie do zabawnego incydentu. Paola Galeazi i jego małżonka posprzeczali się gwałtownie o osobę, której włedy mają do zawdzięczenia rząd de Gasperiego. W toku kłótni pobili się o to, kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych, generał Eisenhower czy senator Taft. Zostali skazani na 10 dni aresztu a porucznik policji dowodzący tym aresztem postanowił wprowadzić Galeaziego w arkana polityki amerykańskiej. Po opuszczeniu więzienia i ukończeniu kursu na pytanie kto jest prezydentem USA — Galeazi odrzekł: „Teraz już wiem: generał Marshall". (d)

Konkurencja

KANADA pozazdrościła laurów Stanom Zjednoczonym. Rząd Kanadyjski uznał, że generał Marshall zbyt mało pomaga rządowi Czang-Kai-Czeka i udzielił rządowi Nankińskiemu pożyczkę w wysokości 25 milionów dolarów. W ramach tego kredytu Czang-Kai-Szek otrzyma między innymi bombowce typu „Moskito" amunicję itp. śmiercionośne zabawki.

Na interpelację w parlamencie Kanadyjskim rząd odpowiedział, że chodzi o zwykłą transakcję handlową. (P)

Honor zdrajcy

POJĘCIE honoru jest dosyć względne. Wszelkie rekordy pobiła jednak księżniczka chińska, przepraszam księżniczka dynastii mandżurskiej, która ongiś zdradziła Chinami. Skazana na karę śmierci za szpiegostwo na rzecz Japonii, zwróciła się do kompetentnych władz z prośbą, by egzekucja nie odbyła się zgodnie z chińskim zwyczajem przez ścięcie głowy na „moście niebios" w Pekinie, lecz w zaciszu podwórza więziennego.

W okresie swej kariery szpiegowskiej księżniczka Kawaszima występowała nie tylko w roli szofera, żołnierza i nauczyciela, lecz również w roli koreańskiej prostytutki. W trakcie przewodu sądowego wyjaśniła, że wybrała tę narodowość ponieważ chińscy oficerowie byli szczególnie łakomi na koreanki. (P)

Przestępstwo popłaca

KANDŻI IKEDA mieszkaniec miasta Osaka w Japonii nie mogąc lub niechcąc zarobić na swoje i żony utrzymanie poświęcił się, mając wiekową tradycję, profesji fałszowania pieniędzy. Zadanie jego było niezmiernie utrudnione ponieważ największy banknot obiegający obecnie w Japonii posiada wartość zaledwie 100 jenów, co równa się mniej więcej 100 złotym. Ikeda nie posiadał żadnych środków technicznych a banknoty wykonywał całkowicie przy pomocy pendzelka. W ten sposób w ciągu 10 miesięcy do chwili aresztowania sfabrykował ogółem 200 banknotów.

Dowiedziawszy się o jego aresztowaniu współobywatele miasta zebrali dla biednego fałszerza kwotę 30.000 jenów, a więc prawie dwukrotnie więcej niż zdołał „zarobić". Tymczasem jednak nie może tych pieniędzy wydać.

Ze śpiewu poznajemy ptaka

W dalekim Wrocławiu jacyś zwariowani zaiste entuzjaści, sposobem sobie tylko wiadomym, rozpoczęli wydawnictwo kwartalnika krytyczno-literackiego pod nazwą „Zeszytów Wrocławskich". Ta skromna nazwa ukrywała, jak się wkrótce okazało, zamiar szerszy i plany ambitniejsze. Oto bowiem pięć grubych zeszytów, leżących przed nami — świadczy, że stworzono rzecz na miarę europejską i jedyną w swoim rodzaju w Polsce: „Zeszyty Wrocławskie" reprezentują atrakcyjność, siłę i bogactwo kultury polskiej, na kresach zachodnich są wyrazem rzetelnego wysiłku naukowego, tutaj właśnie są światłem, promieniującym na cały kraj, tutaj wytworzyły — jakże potrzebne! — środowisko oddane pracy naukowej i szerzeniu polskości.

Jakże mało mieliśmy dotychczas takich pism w Polsce, jakże mało mamy ich teraz. Tym bardziej niespodzianką jest wiadomość, jaką przyniosła nam świąteczna „Odra": „oto podobno Ministerstwo, które dotychczas subwencjonowało „Zeszyty", zrezygnowało z tego mecenatu, przyczem jakiś referat zdobył się nawet na uzasadnienie tej decyzji. Jego zdaniem: „Zeszyty" są pismem prowincjonalnym, a w utrzymaniu takiego pisma Ministerstwo zajmujące się sprawami Ziem Odzyskanych nie ma zainteresowania". „Odra" dodaje: „Jeślibyśmy chcieli zrozumieć nawet samą decyzję, żadną miarą nie możemy zrozumieć motywacji i nie wierzymy, by stanowiła ona oficjalną opinię Ministerstwa".

To prawda. Motywacji tej zrozumieć nie można. Jakże to? Ministerstwo nie ma zainteresowania w utrzymaniu prowincjonalnej placówki? Więc jakie są właściwie jego zainteresowania?

Są to jednak pytania tylko retoryczne. Nie wierzę, aby taką opinię miało Ministerstwo. E cantu dignoscitur avis — ze śpiewu poznajemy ptaka. Jest to ptak domowy z gatunku biurokratycznych. Jeśli mu się uda — obrzydzi każdą inicjatywę, do każdego rozpędu zastosuje hamulec, każdą pracę rozbije na paragrafy, które kłują pracujących tysiącem szpileczek. Aleć się przecie znajdzie w Ministerstwie ktoś stojący wyżej — kto przytnie ptakowi pazurki.

A może słowo „prowincjonalny" ma tutaj inne znaczenie, pogardliwe? Dotychczasowe zeszyty świadczą jednak, że pismo służy nie tylko zamkniętemu regionowi. Odnosi się to zarówno do bogactwa poruszanych w nim zagadnień, mających szeroki związek z kulturą ogólnopolska i europejską, jak również i do szerokiego wachlarza autorów, piszących tu z całej Polski.

Spójrzmy pobieżnie na ten dorobek. Więc tematycznie — drukowano w „Zeszytach" studia, szkice i rozprawy m. in. o Karpińskim, Szekspirze, Mickiewiczu, Wyspiańskim, Asnyku, Niemcewiczu, Sienkiewiczu, Reymoncie, Porębowiczu... Zajmowano się antykiem, stylistyką, dramatem, ogólnymi zagadnieniami teorii i historii literatury. Omawiano poważniejsze zjawiska literackie i naukowe, prowadzono obszerny dział recenzji. Współpracownikami pisma są m. in. Wacław Borowy, A. L. Czerny, St. Kolbuszewski, Jerzy Kowalski, J. Krzyżanowski, Tad. Mikulski, Stan. Rospond. Zygm. Szweykowski, Bohdan Korzeniewski. W. Natanson, Maria Dąbrowska. W dziale twórczości reprezentowali byli: Reymont (fragmenty po raz pierwszy drukowane), Kornacki, Szewczyk, Kudliński, Mach, Anna Kowalska, Helena Boguszewska, Jarosław Iwaszkiewicz, Wojciech Bąk, Bogusław Borowski. Tłumaczono Czechową i Giraudoux. Czy to jest „prowincja?"

Ale wraz ze sprawą „Zeszytów Wrocławskich" wkraczamy na teren szerszy. Jest nim zagadnienie wydawnictw miesięcznych o charakterze pomnikowym, boć przecie nie zastąpią ich tygodniki informujące i polemizujące.

Przed wojną mieliśmy monumentalną „Naukę Polską" (rocznik), miesięczniki „Przegląd Współczesny" i „Przegląd Warszawski" — później „Pamiętnik Warszawski", „Droge", „Skamandra", „Verbum", „Marchołta", „Przegląd Powszechny". Dzisiaj — poza miesięcznikami katolickimi i „Nowymi Drogami", mającymi charakter specjalny — z czasopism, poświęconych zagadnieniom humanistyki mamy jedynie „Twórczość" i właśnie „Zeszyty Wrocławskie". Sama myśl o możliwości likwidacji jednego z tych dwu czasopism musi napawać lękiem każdego, komu sprawy kultury polskiej leżą na sercu.

Nie będzie tedy przesadą, jeżeli powiem, że utrzymanie „Zeszytów" powinno stać się kwestią naszej ambicji narodowej. I tych powodów nie trzeba chyba tłumaczyć przy wielkim i zawstydzającym ubóstwie naszych czasopism naukowych, przeznaczonych dla ogółu inteligencji. A jeszcze jest i powód dodatkowy: „Zeszyty" są placówką kultury na Ziemiach Odzyskanych. Odbywa się tam proces scalania kulturalnego. Uniwersytet Wrocławski i jego „Zeszyty" — to jakby teatr pokazowy kultury polskiej na tych ziemiach, na które patrzy zły sąsiad z uwagą i ciekawością. Smuci go nasza praca, mająca dla całego społeczeństwa także symboliczne znaczenie.

Szczególnie bowiem tutaj — żadna dobra praca i żaden wysiłek nie powinny być zmarnowane. Winny odbijać się żywym i wdzięcznym echem w sercu każdego Polaka. To nie patos. To historyczny obowiązek, mający realne uzasadnienie praktyczne. „Prowincjonalny" ma tutaj znaczenie — ogólnonarodowy.

DON KICHOT

Quas BEZ TYTUŁU*)

Wczoraj w południe obudził mnie niezwykły rwetes w domu.

Wszystkie drzwi i okna trzaskały z łoskotem, a po mieszkaniu dudniły przyśpieszone kroki.

Jednocześnie przyjemny zapach płonącej wsi uderzył moje nozdrza.

— Ki diabeł? — pomyślałem, odwracając się do ściany.

Nagle usłyszałem drżący oburzeniem głos żony:

— Boże! Mnie kuchnia dymi, a on tu się wyleguje!

Nie poruszyłem się, w obawie, by nie wybić się ze snu.

Mój równy oddech podnosił miarowo kołdrę i widok ten musiał podziałać na żonę uspokajająco, gdyż westchnąwszy kilka razy głęboko, wybiegła nie czekając mej repliki.

Tymczasem mózg mój pracował gorączkowo, usiłując uchwycić właściwy sens zagadkowych słów żony.

„Mnie kuchnia dymi, a on tu się wyleguje!"

— A kto się ma wylegiwać na mym łóżku? — zachodziłem w głowę.

Ale wkrótce doszedłem do wniosku, że ciężar zagadnienia spoczywa w słowach dotyczących dymienia w kuchni.

W każdym razie czułem, że nie sposób traktować obu tych zjawisk, to jest dymienia w kuchni i mojego wylegiwania się, inaczej niż w związku ze sobą.

Wyraźnie zresztą wskazywała na to forma stylistyczna użyta przez żonę: „Mnie kuchnia dymi, a on się tu wyleguje"!

Nie ulegało już dla mnie wątpliwości, że w słowach tych zawiera się krytyka mojego stosunku do faktu, że kuchnia dymi.

Potarłem ręką zmarszczone czoło.

Może poprostu należało rozumieć, że powinienem wylegiwać się w kuchni, korzystając z okazji, że dymi...?

O spaniu nie było już mowy. Przewracałem się na posłaniu, z trudem zbierając rozbiegane myśli.

Wtem, na progu stanęła żona niby posąg boleści.

— I cóżby ci szkodziło, gdybyś mi pomógł? — tragiczny patos brzmiał w jej pytaniu.

Instykt mi mówił, że należało natychmiast działać.

Logika paraliżowała moje ruchy.

Przez głowę przebiegały błyskawiczne skojarzenia myślowe.

— A co by ci pomogło, gdybym sobie zaszkodził? — zapytałem łagodnie, patrząc w sufit.

Usłyszałem jeszcze jedno trzaśnięcie drzwiami.

— Jasny piorun, — mruknąłem, zwlekając się z pościeli.

Z miną naczelnika straży ogniowej wkroczyłem do kuchni.

— Gdzie tu się dymi? — zapytałem energicznie. Jednocześnie zakląłem wściekle i przez otwarte drzwi dałem susa do sieni.

Gryzący dym kłębił się w kuchni gęstymi obłokami, przesłaniając kontury sprzętów, dławiąc oddech i paląc źrenice.

— Do czego to podobne? — zawołałem, ocierając dłonią rzęsiste łzy. Oczywiste było to pytanie retoryczne, mające wyrazić mój stan duchowy w czarnych kolorach. To też żona zamiast odpowiedzi, wetknęła mi w rękę jakąś ścierę.

— Masz, machaj tym tutaj, a ja będę machała tam! — powiedziała zadyszana.

Czując z żalem, że inicjatywa wymyka mi się z rąk, przez chwilę machałem ścierą bez przekonania.

Dym, walący z kuchni, włazil mi w oczy, a przy tym krępował mnie mocno negliż, w jakim stałem na schodach.

— Po diabła to machanie? — zawołałem wreszcie, opuszczając ręce.

— Machaj, machaj! Może cug złapie! — zachęciła mnie żona, operująca w kuchni.



Żona zamiast odpowiedzi wetknęła mi w rękę jakąś ścierkę

— A gdzie Marcysia? — próbowałem wywołać spór kompetencyjny.

— W kościele... O! Już łapie! Machaj, machaj! — podniecała mnie żona.

Podwoiłem wysiłki, klnąc w duchu Marcysię, cug i rolę pana domu.

Po trzygodzinnej walce z nieubłaganym żywiołem, cug wreszcie złapał.

Zziajany, opuściłem swe stanowisko, rzucając ścierę na łeb Marcysi, która właśnie szczęśliwie wróciła.

Za to wkrótce z zadowoleniem usłyszałem znajome odgłosy, świadczące o normalnym życiu kuchni. Łomot przesuwanych garnków, szczęk pokryw i fajerek, brzęk mis i talerzy nasuwał optymistyczne myśli.

Nie jestem zwolennikiem wyszukanych potraw. Ale obiad przeszedł wszelkie moje oczekiwania.

Na pierwsze danie było kwaśne mleko z chlebem, na drugie — budyń z konfiturami. Jadłem powoli, utkwiwszy zdumiony wzrok w żonie.

Tak dziś ciepło — powiedziała od niechcenia. — Wcale jeść nie można...

— Zdawało mi się jednak, że będzie coś gorącego na obiad, — zrobiłem dyskretną aluzję.

— Możesz dostać herbaty... — rzekła obojętnie żona.

Naturalnie, poprosiłem.

Zarobiłem na nią uczciwie.

---

*) Autor nie umiał nazwać rzeczy po imieniu w słowach dostatecznie parlamentarnych.

DRUGI SEJMIK SPÓŁDZIELCZY





U dołu od lewej: J. Domański, członek Zarządu „Społem", min. J. Grubecki, członek Rady Głównej ZRS, wicemarszałek Sejmu St. Szwalbe, wicepr. Rady Nadzorczej „Społem", płk. E. Ochab przew. Rady Nadzorczej „Społem" i przew. II Sejmiku Spółdzielczego, pos. J. Żerkowski, prezes Zarz. Gł. „Społem", St. Tołwiński prezydent m. st. Warszawy i przewodniczący Rady Nadzorczej BGS.

Ponadto w Prezydium zasiadali niewidoczni na zdjęciu: min. D. Kuszewski, przew. Rady Głównej ZRS. i Prezes Zarządu BGS, W. Papieska członek Prezydium Rady Głównej ZRS oraz E. Pszczółkowski, prezes Zarządu Głównego ZRS.

KONKURS FOTOGRAFICZNY „TYGODNIA"

NASZ SKARB NAJWIĘKSZY DZIECKO



Prosimy o nadsyłanie fotografii DZIECI DO LAT 10, zdjęć branych wprost z życia, ostrych, o ile możliwe — na błyszczącym papierze. Poza dziecka i wymiar zdjęcia—obojętne. Każda fotografia dziecka, odpowiadająca reprodukcyjnym wymaganiom technicznym, będzie drukowana w „Tygodniu" w kolejności nadsyłania zdjęć.

Dla wzięcia udziału w Konkursie należy wyciąć poniższy kupon, który prosimy dołączyć do fotografii. ZGŁOSZENIA NA KONKURS NADSYŁAĆ MOŻNA DO DNIA 1 MAJA 1948 ROKU.

Po zakończeniu Konkursu Czytelnicy w ogólnym plebiscycie wybiorą, które dzieci drukowane w „Tygodniu" najbardziej im się podobają. Szczegóły plebiscytowego głosowania podamy w odpowiednim czasie.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1. nagroda — zł. 25.000 i tytuł:

«NAJMILSZE DZIECKO TYGODNIA»

2. nagroda — zł. 15.000 3. — zł. 10.000

10 nagród po — zł. 1.000,

50 nagród książkowych oraz szereg dalszych, które podamy po 1 maja rb.

Fotografie zdobywców trzech pierwszych miejsc będą reprodukowane na naszych okładkach. Ponadto FOTO - HOLLYWOOD — Warszawa — Al. Gen. Sikorskiego 52 — przeznacza dla laureatów konkursu następujące premie:

1) dla zdobywcy 1 miejsca — 12 zdjęć pocztówkowych i portret,
2) dla zdobywcy 2 miejsca — 12 zdjęć pocztówkowych,
3) dla zdobywcy 3 miejsca — 6 zdjęć pocztówkowych.

UWAGA! Fotografie bez kuponu nie będą zamieszczane.

Kupon Nr ....

(wstawi Redakcja)

1. ....
Nazwisko i imię dziecka
2. ....
Adres
3. ....

Jaki podpis pod fotografią ma być zamieszczony — wypełniają Rodzice. Wyciąć i dołączyć do fotografii.

Józef Bartosik
Bój „Pioruna" pod St. Malo

II.

Przed godziną nastąpiło pogotowie bojowe. Załogi czuwają teraz przy działach, pochowane w schronach i gotowe do skoku na pierwszy odgłos alarmu. Jedno tylko działo „Dwa" trzyma całą obsadę — trzynastu ludzi — na stanowiskach. Na podajniku leży pocisk oświetlający, nastawiony na „dalekie świecenie", gotowy do natychmiastowego odpalenia.

Wewnątrz wieży po obu stronach lufy celowniczowie siedzą na niewygodnych stalowych siodełkach. Ciężkie pancerne klapy zasłaniające lunety są na pół odryglowane. Pod celownikami jarzą się mdłe światełka przekaźników. Od czasu do czasu zaterkoczą w nich trybiki świadcząc o tym, że w górze, na pomoście dalocelownik się poruszył. Może ma coś na oku...

Tylną część wieży wypełnia tłum otulonych w wachtowe płaszcze postaci, które obsiadły podstawę działa i nastawnice. Na zewnątrz wyłaniają się dwa cienie. Zasłaniając oczy przed wiatrem zerkają na obie burty przyglądając się zimnej, chłodnej przestrzeni. Od czasu do czasu, któryś z nich przyłoży do oczu lornetkę i długo nią wodzi w przestrzeni, nadarmo szukając w ciemności linii horyzontu.

Z dołu, od dziobu dochodzi szum kotłującej się wody — dowód, że „Piorun" pędzi naprzód z dużą szybkością. Od czasu do czasu zerwie się z pod platformy ostry bryzg i zatnie po wieży i po obserwatorach zanim się zdążą uchylić. Do wnętrza osłony działa zawiewa tumanami rozpylonej piany, która osiada na kapturach i stopniowo przemaka przez wojłokowe płaszcze. W ustach robi się słono.

W pewnej chwili pokład chyli się na jedną burtę. Przechył pogłębia się. Obserwatorzy czepiają się kurczowo relingu, aby nie upaść. Pod stopami kadłub wibruje się i trzęsie, jakby okręt dostał drgawek. Wiatr cichnie. Robi się nagle cicho i ciepło. Stopniowo pokład wraca do poziomu.

— Idziemy z wiatrem — mędrkuje jakiś senny głos we wnętrzu wieży. Tymczasem z za rufy „Pioruna" wyłania się blada, wąska plama ostro pochylona na jeden bok. Można już odróżnić prostokątny zarys pomostu i wysoki rozłożysty pióropusz fali, roztrącanej dziobem na obie burty. Mdła zielonkawa poświata nadaje zjawisku wygląd niesamowitej fosforowej fontanny.

— Chyba nas obu na dobrą milę widać... — denerwuje się działonowy patrząc w kierunku „Ashanti", który teraz z powrotem stopniowo przesuwa się za rufę „Pioruna", wchodząc widocznie na nowy kurs. Odległość między okrętami jest mała, 100 może 200 sążni.

— Angliki muszą czuć do nas miętę — inaczej nie daliby forajnerom dowodzić swoim okrętem — rozmyśla ten sam mądry i mniej już senny kanonier. Przez chwilę panuje cisza. Potem słychać chrząknięcie. Jakiś zachrypnięty głos skanduje odpowiedź, uroczyście, powoli, chrząkając co chwila, jakby mu zależało na wciągnięciu innych do rozmowy.

— Pewnie poczuli mir do twojej kapuścianej łepetyny... Myślisz, że Anglicy nie mają oczu! Nie byliby Anglikami, gdyby nie dostrzegli, że drugiego takiego morowego i bojowego chłopa jak nasz stary w całej flocie nie ma! — Na tej dramatycznej nucie chrząkanie urywa się. Nikomu jakoś nie spieszy się do przekomarzania. Najmniej chyba prawo—burtowemu obserwatorowi. Oparł się wygodnie plecami o ścianę wieży i obwiązał rzemyk lornetki beztrosko dokoła prawej dłoni. Z wzrokiem utkwionym w ciemnej przestrzeni puszcza wodze myślom. Miałby niejedno do powiedzenia na ten temat...

Nagle wydaje mu się, że coś mu przed oczami mignęło. W prawo od dziobu — z trzydzieści stopni... Może mu się tylko przewidziało. Od ciągłego patrzenia zaczyna się różne rzeczy widzieć. Sam kiedyś na środku oceanu zameldował po ciemku ląd zamiast chmury. Przykłada lornetkę do oczu. Znowu coś miga. Tym razem na pewno. Widział wyraźnie. Otwiera usta i krzyczy na całe gardło:

— Nastawniczy! Melduj! Prawa dwadzieścia światło. Pojedyńcze wybłyski.

Obsada działa zrywa się na nogi. Jak jeden kopnęli się wszyscy na prawą burtę. Kaptury tłoczą się jeden obok drugiego. Wszyscy już teraz widzą światło. Latarnia jak koń! Jest blisko, bliżej niż się początkowo wydawało. Pali się przyćmionym światłem. Ramiona cienkich smug ciągną się powoli, zakreślając w ciemności regularne koła.

— To już nieprzyjacielski brzeg...— przerywa ciszę stłumiony głos. Bije z niego zaduma i powaga.

— Rochez Douvres — Latarnia na skałach — powtarza uroczyście za pomostem nastawniczy

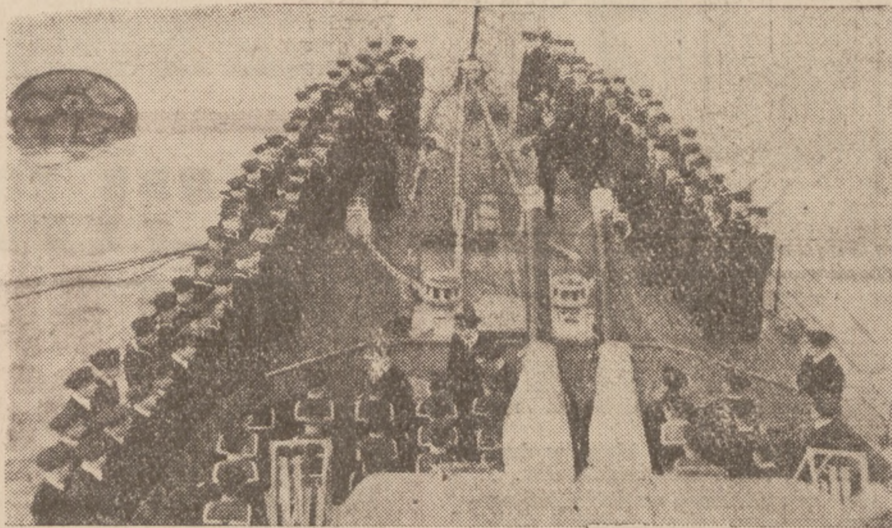
— Jasne jak słońce na niebie, że nie dla nas świecą... ino swoim... Dziwi mnie tylko, że jeszcze z brzegu do nas nie rypią... Dokumentnie teraz pchamy się w samo gardło...

Nagle urwał. Odległa błyskawica na lewym trawersie rozdziera cień nocy. Przez chwilę pół nieba staje w ogniu. Tymczasem łuna gaśnie równie szybko jak się pojawiła, pozostawiając po sobie ciemność głębszą jeszcze niż ta jaka zalegała przed tym.

— Piorunem, melduj!... — krzyczy działonowy wprost w ucho nastawniczego. Potem wracając do rozmowy dodaje:

— Amerykanie leją Boszów aż miło. Siarką wykurzają zarazę... Latarnie tyle pomogą Szwabom co gromnice...

Pokład znowu się chyli. Tym razem na przeciwną burtę. W stalowych linach nad głowami zaczyna po dawnemu gwizdać. Skończyła się cisza. Wrócił przenikliwy ziąb. Jeszcze chwila, od dziobu lunęło pierwszym bryzgiem soli. Kaptury zaciskają się szczelniej dokoła twarzy. Wewnątrz wieży postacie skupiają się bliżej siebie. Latarnia idzie szybko w zapomnienie. Milkną rozmowy. Wraca nastrój upartego, półsennego wyczekiwania.



Przegląd załogi „Pioruna"

Nagle na skupione stadko kapturów spada jak orzeł działonowy. W głosie brzmi drapieżne warknięcie:

— Jazda mi na drugą burtę obserwować. Na byle światło potrafi się to gapić jak banda bachorów... Do lunaparku z wami, osły zatracone, nie na wojnę...

Artylerzystom tej wymownej zapowiedzi nie trzeba powtarzać. Bez słowa trafiają na stanowiska. Nie dlatego znowu, żeby specjalnie się bali despotycznego głosu. Za dobrze znają działonowego. Wiedzą, że pod szorstką kanonierską skórą kryje się serce, które do rany można przyłożyć. Arcy - porządne chłopisko. Przed wojną był górnikiem we Francji, koło Lille. Jeszcze teraz ma trudności z wymową „r". Marynarze mówią, że „skrobie jak rodowity Francman". W czasie strzelania wpada zawsze w dziką furię. Nie daj Boże wejść mu wtedy w drogę. Gotów za burtę wykopać...

Jeden tylko celowniczy „P" jakby dla zaznaczenia, że on tu po działowym najstarszy w obsadzie i że jego te pogróżki nie dotyczą (jeszcze w kraju przed wojną ukończył kurs dla specjalistów i gdyby nie awantura z jakimś zamazanym szarakiem, dawno byłby dziś zawodowym podoficerem — nie bylejakim rezerwistą)— odzywa się poufale:

— Szwaby muszą być diabelni pewni siebie, że już latarnie zaczynają palić...

Działonowy nie spieszy z odpowiedzią. Jeszcze gotów kto pomyśleć, że się liczy z celowniczym. Cedzi więc słowa powoli:

W wieży daje się słyszeć trzask włączanego mikrofonu. Potem senny głos nastawniczego:

— Ta-a-a-ak, — tu działo dwa...

Nastawniczy źle widocznie nastawił wyłącznik, gdyż spiesznie zgłasza się po raz drugi. Słychać, że jest zirytowany. Stłoczone w wieży postacie nadstawiają ucha. Nagle głos nastawniczego zmienia się w ryk:

— Przygotować się do strzelania... Alarm... Radar ma echo...

Na łeb na szyję wyskakują artylerzyści jeden przez drugiego nazewnątrz wieży. Wyznaczone numery obłegają po obu stronach ogon działa, czyjeś ręce chwytają za korby i przekładnie. Odryglowana wieża drga, celowniczy pędzi za czerwoną strzałką kręgu ile tylko pokrętło może nadążyć. Z trzaskiem otwierają się osłony celowników. Lufa podnosi się ku górze. Słychać klapnięcie o wierzchu zamka. Korytko stalowe wali o zaczepy. W ciemności tak zupełnej, że na pół kroku nic nie widać grupa ludzkich cieni wyrywa na pamięć ze stołów pociski i łuski i stawia je na przedłużeniu lufy podwójnym rzędem. Z tyłu, pod pomostem warczy przeciągle winda podnośnika.

— Zameldui gotowe... — komenderuje działonowy.

W miarę jak działo wykręca się coraz bardziej na burtę, podwójny rząd postaci dźwigających amunicję, przesuwa się za wieżą przyczajonym kocim krokiem.

Nastawniczy ma teraz mikrofon włączony na stałe.

— Lewo pięć gwiazd... — wyrzuca z siebie otrzymane z pomostu komendy.

— Lewo pięć gwiazd... — drze się działonowy. Ryk jego jest tak donośny, że podcina wyprężone kolana donoszących.

Zgrzytają noże nastawnicy. Wyrwany z zaczepów pocisk pada na korytko. Skurcz mięśni ładowniczego jednym potężnym szarpnięciem wpycha centnarowy ładunek do komory. Słychać klapnięcie wyrzutnika, łoskot zawieranego zamka... trzask odbezpieczającego rygla...

— Gotowe!! — wrzeszczy zamkowy.

— Gotowe! — powtarza telefon. W dole, pod wieżą odzywa się basowy ton. Buczek skrzeczy przeraźliwie.

— Pal! — drze się działonowy i mru ży oczy.

Huk wystrzału miażdży na chwilę świadomość. Kopnięcie kilku tysięcy kilogramów odrzuca lufę do tyłu. Ostra błyskawica rozdziera na chwilę ciemność. Wiatr niesie kłęby kwaśne go dymu na przeciwległą burtę. Tym czasem krzepkie dłonie wyrywają zamek z rygli. Gorąca łuska wypada na matę i dudni po pokładzie. Powiew gorąca liże odkryte twarze obsługi.

Tymczasem nowy pocisk pada na korytko. I świeża łuska. Ramię ładowniczego wypręża się na nowo w potężnym pchnięciu. Lufa jest znowu załadowana, działo gotowe do drugiego strzału...

— Lewo trzy gwiazdy... — krzyczy działowy.

Pada drugi strzał. Regularnie, co kilka sekund działo oświetlające bryzga w przestrzeń nowym pociskiem. Kwaśna woń spalenizny kłuje nozdrza. Do brwi przylega lepka, ciepła sadza. Po każdym strzale spod rozwartego zamka bucha nowa fala gorąca. Gdzieś spod podstawy skrzeczy upiorny buczek.

Działonowy skanduje rozkazy, artylerzyści biegają jak opętani. W ciemnościach pogłębionych jeszcze oślepiającymi błyskami i oszałamiającym hukiem, każdy z nich na pamięć znajduje drogę do swojej dźwigni, swego pocisku, pokrętła, łuski... Przestali sami dla siebie istnieć... i świat przestał... Zostało tylko działo, jedno jedyne, ryczące, głodne... które musi grać... jak automat. Porwał ich jakiś opętańczy wir. Lata niemiłosiernego drylu składały się na tę chwilę.

Gdyby nie groza wojny, grupa tych trzynastu postaci uwijających się w ciemności czerwcowej nocy jak diabły w ukropie, przedstawiałaby najkomiczniejszy widok w świecie.

Czwarty pocisk opuszcza lufę gdy w kącikach oczu działonowy dostrzega, że w oddali przed działem noc nagle zmieniła się w dzień. Zanim mógł chwyta znaczenie obserwacji okrętem targa piekielny ryk. Odrzut wszystkich „Piorunowych" dział odpalających naraz szarpie pokładem. Z łoskotem zawierają się stalowe drzwi jednego z parków. W schronie brzęczy szkło stłuczonej żarówki.

Artyleria główna „Pioruna" przemówiła. Bój się rozpoczął...!

Przerwa jaka następuje po odpaleniu pierwszego pocisku „oświetlającego" ciągnie się i wydłuża jakby się nigdy nie miała skończyć. Sekundy oczekiwania zamieniają się w wieczność. W górze nad pomostem, wyniesiona wysoko ponad okręt pancerna wieża dalocelownika zamarła w bezruchu. Jej głębokie tajemnicze wycie cia wyzierają w ciemną przestrzeń w jednym i tym samym kierunku. Błysk strzału ślizgnął się po okrągłych ścianach, zaglądnął do okien, odbił się od szklistych soczewek.

Wewnątrz wieży, do gumowej osłony ogromnej, artyleryjskiej lornety przylega szczelnie czoło Oficera Kierującego Ogniem. W gwarze okrętowej nazywa się on OKO. Pod nim, poprzez blado oświetlone czerwone krzyże lunet, szukają horyzontu dwaj celowniczowie. Obok czeka na cel dla swych obiektów dalmierzysta. W dole, tuż pod kolanami OKO wierci się przekaźniczy. Ciasną, zimną skrzynię wypełnia tłum ludzi i dziesiątki przekaźników, telefonów, wtyczek. Od 2 godzin OKO czuje jak jeden z przełączników wbija mu się coraz bardziej pomiędzy żebra.

Ciąg dalszy w następnym numerze

Film TYGODNIA



Prezydent ob. B. Bierut zwiedził w Warszawie wystawę projektów, planów i makiet Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. Po wystawie oprowadzał ob. Prezydenta inż. Hryniewiecki (SAP)



Dnia 10 bm. w Prezydium Rady Ministrów odbyło się posiedzenie Rady Naczelnej do spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej. Na zdjęciu od prawej: Prezydent B. Bierut. Premier Cyrankiewicz, Marszałek Żymierski i Min. Berman (SAP)



W Gdańsku toczy się proces oprawcy gdańskiego Forstera. Na zdjęciu oskarżony składa wyjaśnienia.



Do Szczecina przybyła pierwsza grupa reemigrantów polskich z Westfalii. Na powitanie władz i społeczeństwa odpowiedział Jan Klich

100 WIERSZY O SPORCIE

MISTRZOSTWA BOKSERSKIE POLSKI były prawdziwą rewią najlepszych pięściarzy kraju. W ciągu czterech dni przewinęło się przez ring 84 zawodników w 74 walkach. Zwolennicy pięściarstwa nie mogli narzekać na brak emocji, gdyż oglądali wszystkie rodzaje zwycięstwa, a szereg spotkań przyniosło niespodziewane i sensacyjne wyniki.

Niespodziankami dużego kalibru były: porażka Bazarnika już w eliminacjach z Symonowiczem, Kruży, którego w ćwierćfinale pokonał Czarnecki, mistrza Polski Gumowskiego w półfinale, pokonanego przez największą rewelację mistrzostw, Kasperczaka, wreszcie przegrana Nowary w ćwierćfinale z Zagórskim.

Tytuły mistrzów Polski zdobyli w kolejności wag: Kasperczak (Poznań), Grzywocz (Śląsk), Antkiewicz (Gdańsk), Rademacher (Śląsk), Chychła (Gdańsk), Zagórski (Warszawa), Szymura (Poznań) i Jaskóła (Łódź).

Grzywocz zdobył tytuł mistrzowski poraz trzeci z rzędu, Antkiewicz i Rademacher poraz drugi, a Szymura poraz siódmy. Poznaniak posiada nadto rekord długotrwałości dobrej formy, gdyż poraz pierwszy zdobył mistrzostwo w 1935 r.

Najmłodszym z mistrzów pod względem wieku jest Kasperczak, który ma ledwie 21 lat, najstarszym z mistrzów — 36-letni Szymura.

Zagórski ma swoisty rekord, bowiem tytuł mistrza zdobył w swej ledwie 23 walce w życiu.

Ze starej gwardii tytuły wicemistrzowskie zdobyli: Czortek i Pisarski. Obaj prowadzą pod względem ilości odbytych walk, których Czortek ma za sobą 281, a Pisarski 270. Nadto Czortek i Szymura mają za sobą najwięcej lat treningu, mianowicie 15.

Dwaj mistrzowie z r. z., Olejnik i Klimecki zostali zdegradowani do tytułów wicemistrzowskich. Z mistrzów Polski 1947 nie stawił się na ringu jedynie Kolczyński.

Rewia naszych bokserów rokuje najlepsze nadzieje na przyszłość w tej dziedzinie sportu, w której przed wojną przodowaliśmy w Europie. Pięściarstwo jest sportem, który odpowiada naturze Polaka. Zwłaszcza wagi lżejsze napawają dużym optymizmem. Najgorzej przedstawia się sytuacja w kategorii ciężkiej, która była zawsze „piętą Achillessa" naszego boksu. Pomyślnym objawem jest solidna praca również i w tych okręgach, które do tej pory nie wykazywały większego zainteresowania pięściarstwem.

Wspomniałem niedawno na tym miejscu, że wskazanem byłoby zorganizowanie „Tygodnia nauki chodzenia na imprezy sportowe". Z całą przyjemnością notuję fakt, że mistrzostwa Polski w boksie były właśnie ową „nauką". Okazało się, że przy dobrej woli można zorganizować imprezę, na której publiczność nie byłaby narażona na łamanie żeber. Organizator, WOZB wywiązał się z zadania wzorowo. Spodziewać się należy, że w przyszłości nie będzie już trzeba dekorować hali „zbrojnymi" witrażami w oknach, jak to było ostatnio, Hala „Ujeżdżalni", która miała arcysmutną reputację po meczu z Węgrami, miała tym razem wygląd, który może być zachętą do uczęszczania tam na imprezy, a nie odstraszania od nich, jak to było do niedawna.

Pod adresem publiczności należą się słowa uznania. W miarę dowcipna i w miarę szowinistyczna, wyrażała swe przekonania w ogólnie przyjęty na tego rodzaju widowiskach sposób. Wykazała nadto prawdziwe zamiłowanie do pięściarstwa, co znalazło swój wyraz w wytrwałym oczekiwaniu końca zawodów, a wobec trwania walk w pierwsze dwa dni po 7 godzin (do północy) nie było to przecież zbyt łatwe.

Z. WEISS.



Mistrzowie Polski w boksie na rok 1948. Od lewej: Jaskuła, Szymura, Zagórski, Chychła, Rademacher, Antkiewicz, Grzywocz i Kasperczak

Kalendarzyk historyczny

16 KWIECIEŃ

1844 ur. się Anatol France, laureat nagrody Nobla.
1858 ur. się Stanisław Barcewicz.
1872 ur. się prof. Henryk Galle.
1889 ur. się aktor Charlie Chaplin.
1917 przyjazd Lenina ze Szwajcarii do Rosji.
1940 lądowanie aliantów pod Narwikiem.

17 KWIECIEŃ

1506 założenie kamienia węgielnego pod budowę Bazyliki św. Piotra w Rzymie.
1790 zm. Beniamin Franklin.
1818 pierwszy omnibus w Paryżu.
1897 Turcja wypowiada wojnę Grecji.
1936 zm. Stanisław Szpotański.
1941 lądowanie Amerykanów w Iraku.
1944 zdobycie Tarnopola.
1945 feldmarszałek niemiecki Model popełnił samobójstwo.

18 KWIECIEŃ

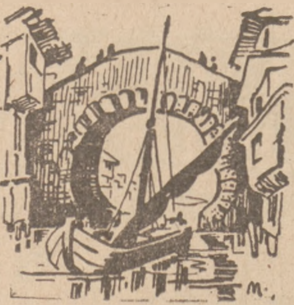
1791 ustanowienie praw o miastach w Polsce.
1897 wybuch wojny grecko - tureckiej.

19 KWIECIEŃ

1588 zm. Paolo Veronese.
1775 Historyczny protest Tadeusza Reytana.
1809 bitwa pod Raszynem. Śmierć Cypriana Godebskiego.
1824 zm. lord i poeta Byron.
1826 ur. się malarz Franciszek Kostrzewski.
1881 zm. Beniamin Disraeli.
1882 zm. Darwin.
1906 zm. Pierre Curie mąż Marii Skłodowskiej.
1935 zm. aktor Mieczysław Frenkiel.
1936 odsłonięcie pomnika Kilińskiego w Warszawie.
1943 powstanie w getto warszawskim.
1945 zdobycie Norymbergi.

Stanisław Maria Saliński

BENIAMIN



OPOWIEŚĆ Z PODEJRZANYCH MÓRZ

II

Jęczeć w pakamerze kartoflanym, w środku nocy? Co się tam dzieje i z kim? Musiałem sprawdzić, poprostu z urzędu starszyny kubrykowego, któremu terytorialnie podlegał i pakamer. Zbliżyłem się do drzwi i tamując oddech przed smrodem gnijących karofli, zaświeciłem latarkę.

— Kto tu?

Spojrzały na mnie lekko błędnawe i spłoszone oczy „kartoszki". Wtedy właśnie zauważyłem, że zezuje. Zapytałem go sucho, co tu robi i dlaczego stęka. Boli go żołądek i głowa, bardzo, nie może już wytrzymać.

Hm! A dlaczego nie pójdzie spać, lecz wala się po tym łajnie? Odpowiedział, że tu sypia zawsze.

— Zawsze? Dlaczego? A gdzież twoja koja?

— Okazało się, że koi dla niego na „Penzie" nie ma i szef-kucharz kazał mu sypiać tutaj.

— Szef-kucharz jest świnia, — powiedziałem, — ale w każdym razie mógłbyś sobie urzadzić tu jakieś bardziej ludzkie leże, materac czy coś. Odpowiedział, że nie potrzeba, bo przyzwyczaił się, tak śpi już od wiosny. Tylko że teraz bardzo mkro, bo kartofle są zgniłe. Znów jęknął i spazm zwierzęcego bólu przeleciał po bezbarwnej przykrej twarzy, w której błysnęło coś trupiego. — Nie, — powiedziałem, — tak być nie może. Chodź, położysz się w naszym kubryku, tam jest wolna koja. I dam ci Inoziemcowa na twój brzuch. Na głowę też pomaga.

Wygramolił się pokornie ze swego piekielnego dołka i przekuśtykał za mną. Z tego, jak bezwładnie i desperacko runął na koję w kubryku widać było, że jest poważnie chory. Legł, skulony jak żałosna zmaltretowana małpa, przymknąwszy sine powieki, uśmiechnięty trupim bezwładnym uśmiechem. Właśnie małpa — a szczególnie te ręce, czarne od żonglowania kartoflami, jedynie na dłoniach lekko zaróżowione, ludzkie.

Przyniosłem mu pół szklanki Inoziemcowa z apteczki na spardeku. Ze spardeku widok na ocean był zdumiewający. Nic — tylko ocean i gwiazdy, imponujący gigantyczny ogrom i gwiazdy, ultraegzotyczne, urągliwe, nieziemskie. Gwiazdy — i ta małpa o różowych dłoniach. Zrobiło mi się przykro i wstyd.

Podając „kartoszce" lekarstwo do wypicia dotknąłem mimochodem jego czoła. Kaloryfer, gorączka jak się patrzy. Odczekałem chwilę, aż się uspokoił i zamarł, skulony nadal w pałąk, coś jeszcze pojękując. Narzuciłem nań derkę i w tej chwili otworzył jedno oko i spojrzał na mnie błędnie i dziwacznie.

Rano odparłem potok przekleństw całego kubryku za sprowadzenie tu tego śmierdziela, który zapaskudził powietrze i w ogóle nie ma prawa tu leżeć. Kartoflarz bredził w malignie pod derką, rozpalony gorączką mamrotał o szefie, a jakiejś mamie, o bzdurach. O ósmej rano byliśmy na wejściu do portu Tsuruga. Zameldowałem Archipience, że w kubryku jest chory i trzeba go zgłosić lekarzowi kwarantanny, który już nadjeżdżał na motorówce.

— Nie trzeba, — burknął bosman, dowiedziawszy się, że chodzi o chłopca z kuchni, — konował japoński i bez tego postawi stempel na liście załogi. — Przekonałem Archipienkę, że jednak zgłosić trzeba, bo to może być tyfus i będzie kram, jak cholera, gdy się wyda. Całą „Penzę" postawią, dranie, na kwarantannę na dwa tygodnie ! co wtedy? Kto odpowiada? Archipienko, że nie zameldował o chorym.

Przestraszony poszedł do kapitana Hejkla, że jeden z kuchni, szlak by go trafił, „sowsiem kaput" i leży w kubryku ani ręką ani nogą. Odtransportowania Beniamina na ląd nie widziałem, zajęty czym innym i dopiero wieczorem dowiedziałem się, że jest w pobliskim szpitaliku portowym i że, szlak-by go trafił, tyfus. Japończycy wykadzili cały kubryk karbolem, za co skięto mnie jeszcze raz.

Nazajutrz przed wieczorem wracałem na pokład. O ósmej odkotwiczamy. Skracając drogę przez port wybrnąłem między elewator a szpital, właśnie prawdopodobnie ten. Na ganeczku oplecionym mimozą uśmiechała się filigranowa „musme", biały duszek miłosierdzia. Zapytałem odruchowo, podekscytowany niebiańską urodą pielęgniarki, czy tu leży pewien chory z rosyjskiego parowca „Penza". Tak, tu.

— Czy mogę się z nim widzieć, bo jestem z załogi „Penzy", odjeżdżam zaraz i jakie mam dać wiadomości rodzinie chorego we Władywostoku. Zniknęła, poświergotała z kimś za drzwiami, wróciła na ganeczek. Mogę wejść.

Leżał w olśniewającej bombonierce. Śnieżna biel ścian, biel łóżka, biel i biel. Zachwycające pastele kwiatów na stoliku. Słodki zapach lekarstw, czystości, dosytu. Byłbym go nie poznał, umytego i uczesanego, gdyby nie zez i gdyby nie „musme", która zaszeleściła mi nad uchem, że oto, proszę, ten z „Penzy".

Poznał mnie poprzez malignę i niespodziewanie rozjaśnił się jakimś błogim zwierzęcym uśmiechem. Zapytałem go, jak mu jest. Wychrypiał, że bardzo, bardzo dobrze.

— Co i komu powiedzieć we Władywostoku o nim?

Wychrypiał jeszcze, że jeśliby matka przyszła odwiedzić go w czasie postoju we Władywostoku, powiedzieć, że jest chory, ale na pewno wyzdrowieje, bo masa doktorów chodzi koło niego, a w tym szpitalu u Japończyków jest jak w raju. Uśmiechnął się nieprzytomnie i szczęśliwie, w nieludzkim zachwycie i z taką tkliwością, jak gdyby mnie a nie tyfusowi zawdzięczał swój japoński raj w przedsionku śmierci.

Przekazałem polecenie „kartoszki" towarzyszom z kubryka i w kuchni, że gdyby przyszła jakaś jego matka, powiedzieć tak a tak, jak chciał. Osobiście jej nie widziałem, nie wiedziałem nawet czy była na „Penzie" i w ogóle nic więcej o Beniaminie ani wiedziałem, ani słyszałem. Był to, jak się okazało, ostatni mój rejs na „Penzie". To wszystko o Beniaminie i mojej z nim znajomości. Teraz, po dwóch latach spotykam go na drugim krańcu Azji i dowiaduję się, że nie tylko żyje, lecz i awansował na kucharza. Piękny awans!

— Z tą naszą przyjaźnią, powiedziałbym, lekka przesada, madame Gobinot. Tyle tylko, że bełtaliśmy się jakiś czas razem na jednej i tej samej łajbie, dwa lata temu, w lecie roku osiemnastego. Nazywał się Beniamin.

— Voila! Ten sam. Słyszałam, że go Maurycy tak nazywał. Beniamin! Jak mój pierwszy narzeczony...

Rozmarzonymi fiołkami spojrzała przez mgiełkę zadumy w srebrną pustynię zatoki i dawnych lat. Westchnęła przeciągle, po swojemu.

— Gdybym wyszła za niego, monsieur, nie gniłabym teraz w tej przeklętej dziurze na krańcu świata. Beniamin miał sklep kolonialny w Marsyli. Byłabym teraz tam wielką panią, monsieur, a nie bajzelmamą w Moncay.

Westchęła i nie pytając o pozwolenie nalała dwa kieliszki anisette.

— To nie do rachunku, monsieur, jeżeli pan pozwoli. Za zdrowie Beniamina. A là votre!

Strzepnęła palcem parkę gekko, błądzącą po ananasie.

— Ten bryg, na którym pan odjeżdża, monsieur, nazywa się strasznie — „Trahison". Co za idiota wymyślił taką nazwę?

Roześmiałem się. Fiołkowe oczy madame Gobinot świeciły, jak latarnie magiczne, pełne niepokoju.

— Zdrada? Bardzo piękna nazwa, madame Gobinot. Płynę na „Zdradzie". Przecież to brzmi wspaniale!

— Cóż pan może wiedzieć o zdradzie, monsieur. Pan jeszcze jest żółtodziób na te sprawy..

Fiołkowe oczy patrzyły ze wzrastającym niepokojem ponad moim ramieniem w okno, w pustynię dżdżystego snu. Odwróciłem się w kierunku ich spojrzenia.

Ciszej, niż duch, zbliżała się ku molo motorówka. Sunęła bezszelestnie ślizgając się na wyłączonym motorze po rtęciowej powierzchni wody. Wychynęła z mgły tak podstępnie i blisko, że zdawała się być nierealna. Ale proporczyk francuskiej straży portowej na dziobie motorówki był najzupełniej realny, jak realną była dyskretna lufa karabinu wyglądająca z iluminatora. Poznałem ją, niestety: motorówka policyjna z Hai-Phong.

— Bardzo nie gustuję w takich odwiedzinach,— powiedziała madame Gobinot, szybko sprzątając dwa kieliszki z lady. — A mój Maurycy wałęsa się gdzieś, merdre. Zawsze nie w porę. A pan? Czy nie wolałby pan przejść się za przepierzenie, monsieur?

Oczywiści, wolałem. Nie abym się panicznie obawiał spotkania z owymi pasażerami motorówki. Nie! Miałem, — tuszę sobie, chwilową — awersję do indagacji, a mogłem być przygotowany na to, jako jedyny obcy cudzoziemiec w tym całym zakazanym Moncay. A kto, a skąd, a dlaczego? Być może uprzejma prośba o okazanie „paszportu". Miałem takowy, lecz wolałem nie wydobywać go na światło dzienne, gdyż pewne drobne niedokładności przeterminowanych wiz i w ogóle mogły wywołać zbyt wiele szumu, jak na taką błahostkę. Miałem taką właśnie sytuację w Hai-Phong kilka tygodni temu, a nie lubiłem, gdy coś powtarza się po raz drugi, z wyjątkiem chyba nocy z Korą.

— Z przyjemnością, madame Gobinot. Ale chyba jeszcze zdążymy...

Sięgnąłem po butelkę rumu, która korciła mnie od dawna swym widokiem i etykietą. Prawdziwy z Mindanao. Motorówka dopiero dobijała do końca molo. Jest jeszcze bardzo wiele czasu — cumowanie dwieście kroków przez pomost, dwadzieścia od molo do werandy „Paradisu". I niewiadomo jeszcze, czy pierwsze swoje kroki skierują tu właśnie.

— Czy mademoiselle Kora jest u siebie?

— Nie. Nie ma jej od rana. Zresztą, nie radzę się z nią dziś spotykać, jest w fatalnym nastroju. Jest z nią z dnia na dzień gorzej. Nie pociągnie już długo, może z miesiąc. A là votre!

Bez zmrużenia powiek przełknęła łyk filipińskiego ognia.

— Brawo, madame, — nie mogłem powstrzymać się od uznania, — pani łyka te pioruny, jak huzar.

— Merci, — uśmiechnęła się wdzięcznie, — wolę, gdy nazywają mnie huzarem, niż bożą krówką, jak mój Maurycy. Ale, ale, monsieur! Czy nie czas na pana?

Środkiem molo kroczyło ku werandzie trzech dżentelmenów. Dwóch w mundurach kolonialnej straży granicznej Indo-Chin francuskich, trzeci — półcywil w kowaleryjskich bryczesach, białej smokingowej marynarce i kasku. Można było, mimo opalowego zmierzchu, rozpoznać ognisto-rude wąsy na bladej twarzy.

— Znam go, — powiedziała madame Gobinot, — to inspektor Borsac z Hai-Phong. Bardzo nieprzyjemne. To ciężki człowiek. A w ogóle... Pan zdaje się zna to przejście między magnoliami za śpiżarnię. Z kuchennych drzwi na lewo. Tam za składzikiem jest ławeczka...

Skinąłem głową. Znam. Na tej ławeczce Kora urządziła mi onegdaj scenę zazdrości.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Objaśnienia wyrazów:

koja — pomieszczenie na statku gdzie załoga śpi
spardek — pokład spacerowy i leżakowy
woila — oto
merci — dziękuję

KRONIKA KULTURALNA

Z okazji „Tygodnia Ziem Odzyskanych" — „Polska Zachodnia" wydała numer specjalny 24-stronicowy, poświęcony naszym Ziemiom Zachodnim pod hasłem: „Ziemie Zachodnie, to siła i dobrobyt Polski, umocnienie pokoju świata". Na treść tego bogatego numeru składają się artykuły wybitnych działaczy i publicystów, którzy omawiają wnikliwie takie zagadnienia jak: „Rewizjonizm niemiecki na tle planu Marshalla", „Zagadnienia społeczne i gospodarcze Dolnego Śląska", „Osadnictwo grupowe", „Powojenna akcja migracyjna", „Udział chłopa polskiego w odbudowie Ziem Odzyskanych", „Odra — droga wodna do krajów słowiańskich", „Wałbrzych — zagłębie węglowe", „Złoty Stok, jako kolebka górnictwa polskiego", „Kościoły Piastów wracają do nowego życia", „Po opolskiej szosie", „Ze wzgórza Św. Wojciecha w dolinę pracy", „Polski Szczecin", „Znaczenie Szczecina dla Czechosłowacji", „Wczoraj i jutro strefy wolnocłowej", „Odszkodowania niemieckie", „Oblicze gospodarcze Ziemi Lubuskiej", „Zagadnienie człowieka", „Kiedy słowo stanie się ciałem", „Czcimy pamięć Kopernika", „Uniwersytet Ludowy w Morągu", i wiele innych, nie mniej cennych materiałów, informujących o bogactwie tym ziem i osiągnięciach naszych na tym terenie w ciągu ostatnich trzech lat.

Po dziesięcioletniej przerwie ZAIKS wznowił wydawanie kwartalnego Biuletynu. Zbiegło się to z 30-leciem działalności związku. Na przestrzeni tych 30 lat „Zaiks" położył ogromne zasługi w dziedzinie ochrony praw twórczości artystycznej. Wielu z dawnych działaczy „Zaiksu" już nie żyje, wielu zginęło zamordowanych przez hitlerowców — na ich miejsce przyszli nowi, którzy kontynuują pracę swych poprzedników i wykazać się mogą pięknymi wynikami swej pracy w okresie ostatnich trzech lat.

MIECZYSŁAW GURANOWSKI



ILUSTROWAŁ EDMUND BARTŁOMIEJCZYK

IV

— Hej, w Zaborówce, to ona niby królowa, śrybłem pokryje ziemicę, w bisiory odzieje listowie. Dzionki nie długuchne, a wieczory lube przy kołowrocie, przy pieśni. Zaprawdę, panie dworzaninie, nie cni się za światem.

— Szczęśliwa jesteś, waćpanno, — westchnął Zygmunt August.

— A wy to nie? Powiadają, na dworze królewskim zabawa dzieć i noc.

— Nie śpiewa ptaszę, wżdy je w złotej klatce osadzą.

— Jakże to? — spytała dziewczyna.

— Tak jeno powiadam, — poprawił się królewic, — widzicie, nie każdemu życie miłe, chocia go zdobią brokatele i adamaszki.

— A ja myślę, że one cudności żywot osładzają...

— Wszelako na dnie onej czary gorzkość zawżdy pozostaje... Cudneńko w tej Zaborówce! Gdyby się tak wyrwać z Krakowa, radbym tu kiedy jeszcze zawitać i popatrzeć na waćpannę, od której taka cichość idzie, jak od łanów złotopszennych...

— To zawitajcie, — rzekła dziewczyna.

Na tem się pogawędka skończyła, bowiem panna Jolanta śpieszyła na gumna. Skłoniwszy się wdzięcznie główką, odeszła, pozostawiając królewica w zadumie.

— Nic tu po tobie, — mówił, wracając zwolna do dworku, — dziewka słodka, jak małmazja, cóż, kiedy smok wawelski strzeże Zygmunta Augusta!

I w onej chwili czuł się młody pan całkiem nieszczęśliwy. We dworku zastał srogie zamieszanie, bowiem nagle zachorzał signor Amato. Nic jeno zaszkodziły wnętrzu zimne jabłeczniki, i mistrz greczyzny wił się w boleściach. Nad nim stała pani Kordaszowa, lejąc w spartańskie usta odwar lipcowych liści, a Jaśko Krzeszowicki, udający królewica, komenderował:

— Jeno spokojności, jeno spoczynku, połóżcie go nawznak i blachy na żywot grzejcie.

Choroba pana Sylvia zatrzymała wszystkich na noc w Zaborówce, czemu dworzanie zgoła nie byli przeciwni. Tem ci więcej, iż pogoda trzymała ciepła, a słońce zachodziło ogniście, wróżąc nockę miesięczną, gwiaździstą. Po wieczerzy młódź rozsypała się po olszynce, zaś Jaśko poszedł na zwiady, azali nie uda mu się gdzie przydybać panny Joli. Jakoż odnalazł ją w sadzie, podlewającą kwiaty i do niej przemówił:

— Panno Jolanto, proszę dotrzymać przyrzeczenia.

— Przyrzeczenia? — spytała zmieszana.

— Tak ci jest, opowieści o onych snach.

Spłonęła i milczała.

— To są sny takowej prostej dziewczyny, nie dla waszej dostojności uszu.

— Na Boga! — zaprzeczył Krzeszowicki, — azali waćpanna mniemasz, że królewica interesują sny którego z ochmistrzów? Porzuć waćpanna tę robotę i przejdziemy się po sadzie. To moja prośba, panno Jolanto...

Usłuchała go. Jaśko, pragnąc zabawić dziewczynę, opowiadał jej wesołe fraszki z życia wawelskiego, wywołując coraz uśmieszki na lica panny. W opowieściach onych nie szczędził sobie glorii, czem znowu sprowadził zachwyt i uwielbienie. I zwolna między oboje wplątała się nić przyjaźni, że im się wydało, iż znają się od dawna. Panna Jolanta ośmielona łaskawością królewica, zwolna odkrywała tajnie swojego serduszka.

— Toć ona chwila dawno przeze mnie wyśniona — mówiła szeptem zasłuchana w słodkie poszumy sadu — i jako żywo! aże mi dech zapiera z trwogi. Nieraz to, spoczywając w swoim alkierzyku — a nocka za oknami błyszczała od gwiazd, a miesiąc to jak by zaglądał do izby — widziałam na onych pasemkach srebrnych, płynących do mojego wezgłowia, królewica... A był on, — o, Matko Przenajświętsza, aże wstydno wspominać — był do was, panie, podobny!

Zarumieniona umilkła, a Jaśko ogarnięty nagłą szczęśliwością, prosił:

— A mówże mi tak waćpanna mów, bo mi się wydaje, że to chóry anielskie!

— Wstydno, wstydno mi, — szeptała panna Jolanta, zasłaniając oczęta, — ale niech tam! powiem wszystko. Tedy on królewic, cały złocisty, jak to go w bajce malują, brał mnie za rękę i powiada: „Pójdź za mną waćpanna — powiada, — do onej kolaski, czekającej przede wrota". I szłam za nim. A tu już hufiec rycerzy mnie czeka, i kolaska nas niesie... a dzwony biją, a lutnie grają...

Jakby na dane hasło ozwały się słodkie głosy, jako że Giovanni śpiewał do gwiazd canzonę.

— Panno Jolanto, — rzekł Krzeszowicki, — daj to Boże, aby się on sen ziścił.

— Ostawcie, — zawołała prawie z płaczem dziewczyna, — sen mara, nie godzi się wam, królewicu, tak do mnie przemawiać. Nie wy dla mnie, nie ja dla was. Żegnajcie!

Amato, odsunąwszy dryakwie pani Kordaszowej, wnet do zdrowia powrócił. Jeszcze jeden dzionek zabawili w Zaborówce i zajutrz o świcie gotowi byli do dalszej drogi. Daremnie podczas dnia, jako też i przy pożegnaniu wypatrywali junacy pięknej panny Jolanty. Wyjechała o świcie do drugiego stryja, pod Ojców. Królewic Zygmunt i jego dworzanin Jaśko głowili się nad przyczyną tego jej postępku... I kiedy wyjechali na gościniec, opanowała obydwóch melancholja. Królewic nie rad był dalej podróżować, i ku zdumieniu Sylvia,



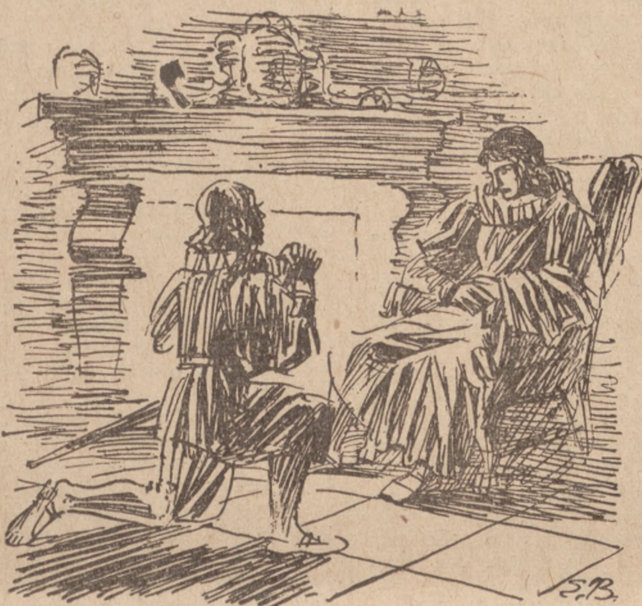
...tuż przed chrapami końskimi dojrzał pannę Jolantę.

I za nim zdołał jej odpowiedzieć, uciekła.

— Najmilejsza ty moja, — wołał za nią Jaśko, — powrócę tu, nie jako królewic, jeno twój rycerz, gotów za ciebie krew przelewać.

I począł sobie jakieś śluby czynić, poczem wrócił do dworku — w rozmarzeniu. Rad był wielce, że królewic spał, że nie będzie zniewolony do pogawędki, z góry wiedząc, iż Zygmunt opiewał by uroki panny Jolanty. A potemu Jaśko chęci nie miał...

rozkazał powracać do Krakowa. Jechali tedy w milczeniu, z niepokojem poglądając na chmurne oblicze młodego pana. Jadąc tęgim kłusem, przed wieczorem byli na zamku. Królewic zamknął się w komnatach, nie chcąc nikogo widzieć, i dopiero nazajutrz z musu poszedł na pokoje królowej - matki, powitać ją z podróży.



— Na Boga — zawołał przerażony Jaśko,—azali Wasza dostojność chora?

Po jakimś czasie dworek znieruchomiał, spowity w ciszę nocną. Jaśko usiadł przy rozwartym oknie i długo spoglądał w gwiazdy.

...A była jeszcze jedna duszyczka w onym dworku, czuwająca, azali z poświaty miesięcznej nie spłynie ku niej postać królewica. A może nie z bajki, jeno... z sadu okrytego kwieciem czereśniowem!

. . . .

...otoć każdy lekarz faści
nie pomogą jego maści —

powiadano wówczas, przyganiając nauce lekarskiej. Jakoż meser Sylvio

Tak upłynął długi tydzień, podczas którego Zygmunt parokrotnie widywał Jaśka, ale jakiś chłód między nimi zapanował. Krzeszowicki, serdecznie przywiązany do osoby królewica, bolał nad tem srodze. Raz tylko, kiedy dworzanin wspomniał o niedawno odbytej podróży, Zygmunt, patrząc na niego, podejrzliwie zagadnął:

— Byłeś w Zaborówce?

— Jako żywo nie. Poco zaś bym tam jeździł?

— Na amory z panną Jolantą, — zaśmiał się gorzko królewic — przecie tu cię nie niewolą.

— Nic tam po mnie, — odpowiedział dworzanin, — zamilknij serce, toć kiedy wyznam pannie, żem jeno imitował królewica, gotowa mnie znienawidzieć.

— Głupiś, skoro ci była przychylna jako królewicowi, nie pogardzi sercem rycerzyka.

— A bogdaj się słowa waszej miłości w ciało obróciły, — zawołał z przejęciem młodzian, obejmując kolana królewica.

Jakoż w parę dni później wypadło drużynie dworskiej powitać króla Zygmunta Starego, który wracał z Niepołomic, zaś Bona Sforza, pragnąc króla na wszelki sposób do siebie przywiązać, wyjeżdżała mu na spotkanie do Łobzowa. Hucznie i gwarno wyruszył hufiec z zamku wawelskiego, kapiąc od złota, mieniąc się jak tęcza od brokateli, adamaszków i sajetów. We wspaniałym orszaku widziałeś co najprzedniejsze osoby: tuż za kolebką królowej jechali z pocztami własnemi — pan wojewoda Piotr Kmita, i pan Jan Tarnowski, kasztelan krakowski, i poufalec Bony biskup Gamrat, a dalej z nauki: Piotr Tomicki, druh Erazma z Rotterdamu, dziejopis Wapowski i sławetny Boner. Tuż za niemi jechał hufiec rycerzy otaczający królewica Zygmunta Augusta, któremu przewodził Jaśko z Krzeszowic. Minęli wały i wkroczyli w ulice, wiodące na rynek, a zasię tłumy mieszczan i pospólstwa potworzyli szpalery, pragnąc oglądać królowę i znamienite osoby.

A widok to był zaiste wspaniały! W oświetli majowego słońca błyszczały karacany, jak ze złota, a kapy mieniły się od drogich kamieni. Jeźdźcy, rzekłbyś, przygwożdżeni do szkarłatnych kulbak z herbami Jagiellonów i Sforzów, szum chorągwi, dźwięk trąb, — wszystko to zlewało się w obraz nad miarę cudny. Niejeden który wprawdzie z pospólstwa wydawał okrzyk niepochlebny na widok Bony, to przecież ginął on w jazgocie setek głosów, wiwatujących na cześć królewica, panów i uczonych. Poczet z niemałą trudnością przeciskał się przez szpalery, i daremnie tatarzy królewscy czynili ład bardyzanami, bowiem u wylotu Grodzkiej ulicy uczynił się zator prawdziwy. Nagle bachmacik Jaśka, przestraszony snać okrzykami, poniósł i omal nie wpadł w ciżbę. Uczynił się krzyk i tumult. Krzeszowicki szybko rumaka osadził, nagle spojrzawszy w tłum, oniemiał: tuż przed chrapami końskiemi dojrzał pannę Jolantę, którą za rękę pociągał jakowyś starszy człek. Zabiło serce w rycerzu, oczy ich spotkały się. Panienka patrzała zdumiona, twarz jej pobladła. Lecz zanim Jaśko zdołał krzyknąć, tłum ją porwał, i Krzeszowicki stracił Jolantę z oczu. Zawróciwszy konia, przysunął się do królewica i szepnął mu na ucho:

— Wasza miłość, widziłem pannę z Zaborówki.

— Gdzie? — spytał gwałtownie królewic.

— W ciżbie, omal że ją mój bachmat nie stratował.

— Aleć się jej nic nie przytrafiło?

— Chwała Matce Przenajświętszej!

— To i dobrze, — odpowiedział Zygmunt, i uderzywszy konia ostrogą odjechał.

Krzeszowicki do końca uroczystości był jako w śnie gorączkowym. Dali ponoć znać, że król Zygmunt się zbliża, potem były ponoć jakieś fanfary, bicie w dzwony, strzelanie z moździerzy i powitania! Jaśko był ślepy i głuchy, wzdychając jeno, ażeby jaknajprędzej być od służby wolnym. Dopiero o zmierzchu, uprosiwszy dowódcę straży, mógł był się chyłkiem wysunąć z zamku. Jak obłędny biegł na rynek. Przeszukał zajazdy, Sukiennice, winiarnie, — ślad zaginął po pannie Jolancie.

— Wyjechała, — pomyślał rycerz, i rozpacz podnosiła mu włosy na głowie. Toć dopiero teraz, ujrzawszy ją wreszcie po tylu dniach rozłąki, zrozumiał, że ją miłuje z całych sił. — Bóg mnie pokarał — mówił, — żem niebogę obłaźnił, słuszny dopust niebieski!

I zrozpaczony, ze znużenia omdlały, miał Jaśko wracać do zamku, gdy naraz przy kościele Panny Marji ujrzał oboje: pannę Jolantę i starego szlachcica. Puścił się kłusem za nimi i za chwilę całował ręce dziewczyny. Ale ona go odsunęła, i spojrzawszy nań z wyrzutem, spytała szeptem:

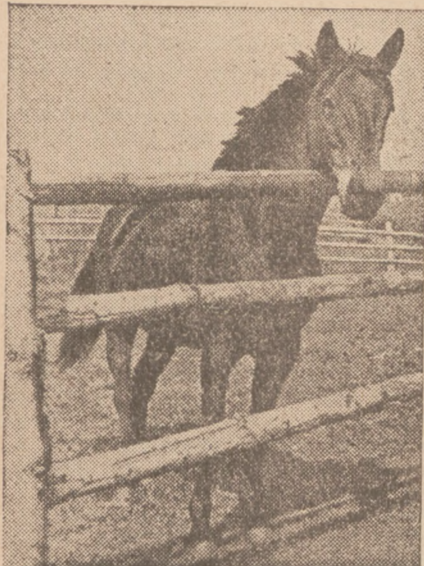
(Dalszy ciąg na str. 10)

HODOWLA OGIERÓW W WALEWICACH

Wojna i związane z tym przemarsze wojsk odbiły się fatalnie na liczebności pogłowia zwierzęcego w Polsce. O ile dość szybko odrabiamy nasze straty w zakresie nierogacizny, o tyle na odcinku rogacizny i koni potrzeba będzie jeszcze dłuższego czasu.

Przed wojną mieliśmy dość dużo koni, które nawet eksportowaliśmy zagranicę, przy czym konie polskiej hodowli cieszyły się dużym powodzeniem i znajdowały chętnych nabywców. Posiadaliśmy też odpowiednią ilość stajen wyścigowych i ośrodków hodowlanych, które uległy ogromnemu przetrzebieniu przez hitlerowskiego okupanta. Niemcy, uciekając, wywieźli nasze najlepsze konie. Niewiele z nich odnalazło się. Toteż Rząd w trosce o podniesienie stanu pogłowia końskiego, którego największy brak dał się odczuwać na Ziemiach Odzyskanych i na terenach przyczółkowych, na których toczyły się najbardziej zacięte walki — sprowadził duże ilości koni z Danii, ze Szwecji, Anglii i Kanady.

Konie te rozdzielono pomiędzy rolników za pośrednictwem Związku Sa-



Jeden z licznych koni hodowli walewickiej.

mopomocy Chłopskiej. Część z nich, tzw. „pełnej krwi" i „półkrwi" skierowano do specjalnie stworzonych ośrodków hodowlanych w różnych punktach kraju, w resztówkach pozostałych po rozparcelowanych dużych majątkach.

Stałą opiekę nad tymi ośrodkami objął Departament Hodowli Koni, powołany przez Ministerstwo Rolnictwa. Ośrodki te spełniają bardzo doniosłą rolę, bo przyczyniają się do podniesienia wartości pogłowia końskiego.

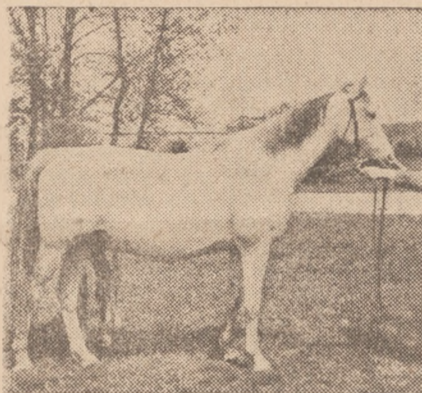
Jeden z takich ośrodków mieści się w Walewicach, dawnym majątku Walewskich, a później Grabińskich.

Walewice znane są prawie wszystkim w Polsce, a sławę swą zawdzięczają Marii Walewskiej, jednej z morganatycznych żon cesarza Napoleona I. Legenda twierdzi, że Napoleon przebywał przejazdem w Walewicach, a nawet ludność miejscowa wskazuje na boczne skrzydło pałacu, jako na miejsce, w którym nocował cesarz Francuzów i skąd ukrytym przejściem udawał się do sypialni, znanej z urody pani Marii Walewskiej.

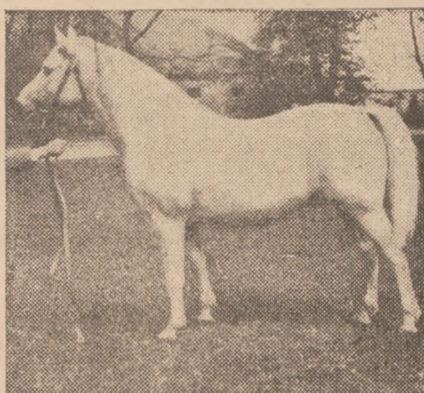


„Tamiza" typ anglo-araba.

Historycy twierdzą jednak inaczej, że to raczej pani Walewska przyjeżdżała do Warszawy na spotkanie z cesarzem, a że sam Napoleon nigdy nie był w Walewicach. Jak tam było na prawdę, trudno w tej chwili dociec, faktem jest, że miłość Marii Walewskiej do cesarza była wielka, a owocem miłości był, zresztą nieciekawy, syn. W każdym bądź razie Walewice zyskały sławę w historii epoki napoleońskiej. Pewne koła starały się, aby w pałacu walewickim zorganizować muzeum pamiątek po Napoleonie, ale myśl ta nie znajduje większego zrozumienia i zainteresowania ze strony czynników miarodajnych. Istnieją tu obecnie dość skromne zbiory pamiątek z epoki napoleońskiej. W pałacu tym mieści się też obecnie Zarząd Ośrodka Hodowli Ogierów.



„Kula" typ anglo-araba.



„Jantar".

Walewice są pięknie położone, o 18 km od Łowicza, wzdłuż drogi prowadzącej z Łowicza do Bielaw, niedaleko Piątku i Soboty, miejscowości znanych z „Trylogii" Sienkiewicza. Posiadają one piękny park, kilkanaście stawów rybnych, duże tereny łąkowe, tak niezbędne do roli, jaką obecnie spełniają.

W ciągu minionych trzech lat poszczycić się mogą pokaźnym dorobkiem młodego narybku końskiego i o niejednym „wychowanku" walewickim usłyszymy zapewne podczas tegorocznych i następnych wyścigów konnych.

Hodowla ogierów prowadzona jest tu wzorowo, zresztą pozostaje ona pod opieką zamiłowanych „koniarzy". Kilku „wychowanków" z tej hodowli reprodukujemy w naszym reportażu.

KROTOFILA ZYGMUNTA AUGUSTA

(Dokończenie ze str. 9)

— Jako że mam powitać waćpana? wżdy, by królewica Zygmunta Augusta, aza jego dworzanina?

— Powitaj mnie waćpanna, jako swojego sługę, — odpowiedział wzruszony.

Stary szlachcic, towarzysz Joli, spoglądał zdumiony na nieznajomego młodziana, co widząc Jaśko uchylił bereta i rzekł:

— Jam ci jest Jaśko Krzeszowicki, dworzanin jego królewskiej mości, od roku niełonego na rycerza pasowany. Miałem ci to szczęście poznać pannę Jolantę w Zaborówce.

— Nazywam się Kordasz, herbu Lubicz, — rekomendował się szlachcic, — stryjeczny Jolanty. To waćpan jeździłeś z dworem królewica?

— Nie inaczej, waszmośćpanie. A pozwólcie, że was krzynę po Krakowie oprowadzę, jako że znam ten gród na wylot.

— Grzeczny z was rycerz, — przytaknął pan Kordasz, — zaraz widać, żeś italskiego obyczaju. Co ty na to, dziewczyno?

— Ja i owszem, — odpowiedziała panna, — jeżeli ten rycerz ma ochotę.

Ruszyli: młodzi naprzód, za nimi podreptał stryjcio. Zrazu milczeli, bowiem za dużo słów cisnęło się im na wargi. Jaśko nie miał śmiałości się odezwać, panna była zagniewana. Minęli Sukiennice i skręcili w Szewcką — bez słowa. Wreszcie milczenie przerwał Krzeszowicki:

— Wybacz, waćpanna, onej z koniem przygody niefortunnej...

— Przygody z koniem, — wybuchnęła, — to fraszka, gorzej, że waćpan ze mnie zadrwił. Tego ci nigdy nie daruję.

— Panno Jolanto, — rzekł Jaśko, — wybacz, to była krotofila, którą ułożyliśmy, pragnąc jeno królewica zabawić. Nie zadawaj mi waćpanna rany, boć mnie tu tęsknica żarłą.

— Nie widać tego po waćpanu, — przerwała z gniewem panna.

— Jezu Nazareński, mam że ci serce otworzyć, a toć daruj, one chąberki na mnie zwróć.

— Dość tego, — krzyknęła Jola, — nie wierzę waćpanu, kto raz skłamał, ten ci u mnie ufności niema. Toć i tam, w Zaborówce, opowiadał aść o sobie smalone duby, a ja... ja... marzyłam o was jak o królewicu...

— To wy marzyli o królewicu, nie o mnie?!

A wiedźcie, że tak. I o to do was żal noszę w sercu.

Oczęta jej się zaszkliły, a usta drżały jak u małego dziecka.

— Jakże ja teraz bez swojego królewica wyżyję? — wybuchnęła płaczem.

Jaśko milczał bezradny, nie znajdując słów na uspokojenie. Na szczęście stary szlachcic ich dogonił i jął się dopytywać rycerza o dworskie nowinki. Półgębkiem odpowiadał Jaśko, myśląc o swojem nieszczęściu, gdy nagle pan Kordasz rzekł:

— Jolanta, nam już czas zawracać do gospody, podziękuj temu zacnemu kawalerowi.

— Stryjciu, — rzekła panna, — toż my na śmierć zapomnieli o lamie dla stryjeńci, którą można u Włochów nabyć w Sukiennicach.

— Późno już, — grymasił stary.

— Jeżeli waszmośćpan zezwoli, gotów-em pannie Jolancie potowarzyszyć?

— Bene, — zgodził się pan Kordasz, — jeno wrychle wracajcie, — poczym ruszył w stronę gospody.

— Dzięki panno Jolu... za oną lamę, — rzekł z wdzięcznością rycerz.

— Et, niema za co, to dla stryjeńci, nie dla waćpana.

— Panno Jolanto!

— A czego znów?

— Toć wydobędź tę mizerykordję i uderz mnie w piersi, jeno już wybacz mi, jeno nie bocz się, bo chyba oszaleję!

— Teraz to waćpan szalejesz, a wprzódzi, to mogłeś kłam zadawać? Toć ja przez waćpana serce niegodnym uczynkiem splamiłam, karmiąc obojętnością królewica!

— Na Boga, przecie go waćpanna nie pokochała?

— To i co z tego, ale to był prawdziwy, prawdziwy królewic Zygmunt August!!

— Któren ci się... tfy! śnił po nocy?

Eh, z asanem dogadać się trudno.

— O, ty moje śliczności najmilejsze, o ty moje słonko najsłońsze, toć powiedz o kim śniło twoje serdeńko?

— Oj, to było całkiem źle, — odpowiedziała dziewczyna, boć ja nieszczęsna zwidziałam w snach waćpana, zasię marzyłam o królewicu...

— Gore mi, — jęknął Krzeszowicki. I stracił na fantazji. Dopiero kiedy powracali do gospody, i panna Jolanta jakoś cieplej spojrzała na młodego rycerza, ów się odezwał:

— Toć powiedz, waćpanna, mogę w sercu żywić jakowąś nadzieję?

Pomilczała chwilę, jakby ważąc od powiedź:

— Ha, może mi się te sny jakoś odwrócą...

— Jolu, najmilejsza!

— Zaczekaj waćpan, trza oną hańbę jakoś zmyć. Za cudzą sławę — swoja sława... Pojmujesz?

— Na Boga, niedługo będziesz czekała. Wyruszę wnet z księciem Radziwiłłem i sławą się okryję.

— Zgoda, — odpowiedziała, dając mu na pożegnanie rączkę do ucałowania, — ale przedtem przyjedź waść do Zaborówki stryjciom się pokłonić...

I znikła w ciemnej sieni, wiodącej do gospody.

Jaśko Krzeszowicki powracał na zamek, targany uczuciami radości i rozczarowania; w sercu grała mu melodia, aleć brakowało w niej nuty zwycięskiej.

Okna wawelskiego zamku gorzały światłem. Bona wydała ucztę na cześć króla. Grały muzyki. Odgłos pląsów słychać było na dziedzińcu. Jeno w sercu Jaśka głusza zaległa...

Na schodach przydybał go camerier z rozkazem, ażeby duchem szedł na pokoje królewica; ogarnął go niepokój. Zastał Zygmunta Augusta w jego sypialni, było ciemno, jeno na kominku gorzał ogień, pomimo, że nocka trwała ciepła. Zapatrzony w płomień siedział nieruchomo królewic, okryty czarną opończą.

— Na Boga, — zawołał przerażony Jaśko, — azali wasza dostojność chora? Toć cały zamek drga od pląsów.

— Nic to, — rzekł smutnie Zygmunt, — niechaj wżdy się bawią.

— Co wam królewicu? — pytał niespokojnie dworzanin, klękając przed panem.

— Dusza we mnie chorzeje, — odpowiedział.

Zamilkli. Z komnat królewskich dochodziły dźwięki włoskiej kapeli, na kominku trzaskały bierwiona.

— Widziałeś? — spytał nagle Zymmunt.

— Kogo, wasza miłość?

— Ją.

— Widziałem, — odpowiedział cicho Jaśko.

— I cóż? gadaj mi o niej...

— Ach, miłościwy panie, — wybuchnął dworzanin, — to zgoła niebiańska istota, Wenus z Minerwą się zbratały! A ciężki miałem orzech do zgryzienia z oną krotofilą, aleć w końcu tośmy się porozumieli.

— Jakże to, — spytał Zygmunt, — pojmiesz ją, Krzeszowicki za żonę?

— Za zgodą waszą, panie.

Królewic zmagał się chwilę, poczem rzekł:

— Zezwalam.

— Ach, miłościwy panie — wybuchnął Jaśko, — gdybyście wiedzieli! Toć ona jeno na mnie patrzała oczyma, a zasię śniła o was, królewicu!...

— Skąd to wiesz?

— Sama to mi wyznała.

Królewic pomyślał chwilę.

— To jej podziękuj, — rzekł, — i powiedz... czekaj... powiedz jej, że ją zawżdy mile wspominał będę.

— Słucham, wasza miłość.

— Powiedz jej, że ciężka dola królewica Zygmunta Augusta.

— Słucham, wasza miłość.

— Powiedz, że ją kiedy w Zaborówce odwiedzę...

— Słucham, wasza miłość.

...ale we śnie jako ów królewic z bajki...

M. Guranowski

SPÓŁDZIELCZOŚĆ na ziemiach POLSKICH

OŚRODEK PRZEMYSŁU KOPALNIANEGO

POWSTAJE W POWIECIE KOLSKIM

Powiat kolski (woj. poznańskie) ma przed sobą naprawdę duże możliwości rozwojowe, ze względu na jego uprzemysłowienie. W okolicy miasteczka Kłodawy odkryto ostatnio poważne złoża soli kuchennej i soli potasowej. W chwili obecnej dokonywane są tam rozpoczęte jeszcze przed rokiem wiercenia w poszukiwaniu nafty, która według przewidywań fachowców powinna się tam znajdować. Miasteczko Kłodawa, liczące ok. 4.000 mieszkańców, przeżywa emocjonujące chwile gorączkowego rozwoju. Buduje się pośpiesznie baraki mieszkalne dla 7.000 robotników, którzy jeszcze w tym roku mają być zatrudnieni w organizującym się przemyśle kopalnianym.

Uprzemysłowienie tego, do tej pory zdecydowanie rolniczego, powiatu nie wątpliwie dodatnio się odbije i na rozwoju jego stolicy. Miasto Koło liczy w tej chwili 11.000 mieszkańców a powiat zamieszkuje 100.000 ludności. Już za rok obie te cyfry ulegną poważnemu zwiększeniu, co przemawia za tym, aby przyszły Rejonowy Oddział Spółdzielczej Centrali Spożywczej mieścił się właśnie w Kole.

W związku z tym nasuwa się pytanie czy Oddział Powiatowy „Społem" w Kole będzie mógł podołać zadaniom, jakie w niedalekiej już przyszłości zostaną mu powierzone?

Z pytaniem tym zwróciliśmy się do kierownika Oddziału ob. Czesława Miałkowskiego, który udzielił nam następującej informacji.

Oddział Powiatowy „Społem" w Kole istnieje od kwietnia 1945 r. Mieści się w wydzierżawionych budynkach poniemieckich. Biura Oddziału są dość wygodne, lecz pomieszczenia magazynowe — stanowczo niedostateczne. Projektuje się rozbudowę magazynów, na co zdołano już zgromadzić potrzebne materiały budowlane.

Na terenie powiatu istnieją 23 spółdzielnie różnych typów, posiadające łącznie 38 sklepów. Gminne Spółdzielnie „Samopomoc Chłopska" w liczbie 11-tu (20 sklepów) zrzeszyły się w Powiatowym Związku, który powstał niedawno. Sieć spółdzielni jest dostatecznie rozwinięta. Przydałoby się jeszcze kilka sklepów. Warunki pracy Oddziału są bardzo dobre. Współpraca z władzami i partiami politycznymi układa się nad wyraz pomyślnie. Zwłaszcza stanowisko starosty kolskiego ob. Jana Oliskiewicza jest dla Oddziału więcej niż życzliwe i pełne zrozumienia dla jego działalności i potrzeb. To też pozycja Oddziału jest tu wyjątkowo silna. Nic się poprostu w sprawach spółdzielczych i gospodarczych nie decyduje bez wysłuchania opinii Oddziału, która zazwyczaj posiada wiążące znaczenie. Współpraca ze spółdzielniami oparta jest na wzajemnym zaufaniu. Niektóre spółdzielnie w 97 proc. zaopatrują się w towary w Oddziale.

Obroty Oddziału stale wzrastają. Pod względem wysokości obrotów Oddział w Kole zajmował w woj. poznańskim w 19445 r. — 9-te miejsce na ogólną liczbę 35 powiatowych Oddziałów.

Oddział zatrudnia w tej chwili 33 pracowników. Zespół wypróbowany, ofiarny i należycie fachowo przygotowany. Temu zespołowi zawdzięczać należy, że Oddział pod względem wydajności pracy stale zajmuje w Okręgu Poznańskim 1, 2 lub najdalej 3 miejsce. To też i koszty handlowe Oddziału są niskie (5-te miejsce w Okręgu), bo praca jest zsynchronizowana a wskutek tego wydajna i mało kosztowna. Te wszystkie szczegóły z pracy Oddziału w Kole świadczą, że Oddział ten, jako rejonowy, zadanie swoje w sposób właściwy napewno wypełni.

POLSKA SZCZECINA NA RYNKACH CAŁEGO ŚWIATA

Przerób szczeciny, zakrojony na szerszą przemysłową skalę, był w Polsce przedwojennej zupełnie nieznany, Przerabiało się tylko niewielką ilość tego artykułu systemem chałupniczym... i wszystko. Dopiero po wojnie na Ziemiach Odzyskanych, a ściśle na obecnych zachodnich krańcach woj. poznańskiego (Ziemia Lubuska), zastaliśmy poniemieckie przedsiębiorstwa temu przemysłowi poświęcone. Uruchomiono je i rozpoczęto przerób szczeciny nie tylko na potrzeby własne, ale przede wszystkim na eksport.

Zainteresowała nas ta nieznana dotąd w Polsce dziedzina produkcji, postanowiliśmy zatem zapoznać się z nią i w tym celu pojechaliśmy do Zielonej Góry, aby tam zwiedzić prowadzone przez Związek „Społem" Zakłady Przemysłu Szczotkarskiego.

Zwiedzamy fabrykę. Któżby przypuszczał, że z taką zwyczajną, najzwyklejszą świńską szczeciną jest aż tyle kłopotu? Przerób jej w zależności od gatunku, wymaga kilkudziesięciu różnych operacji przetwórczych.

Do fabryki przychodzi brudna surówka tzw. „kozłówka". Ulega ona rozbiciu, oczyszczeniu, praniu, siarkowaniu i bieleniu. Potem przechodzi przez mokre układaczki (specjalne maszyny), ulega mokremu czesaniu i wiązana jest w tzw. „kluski". Następnie jest gotowana, suszona, czesana na sucho i przechodzi przez maszyny zwane „przecieraczkami", które układają szczecinę cebulkami do cebulek, a kwiatem do kwiatu. Przechodzi drugie czesanie suche, ściąganie (zuppowanie), wykańczanie, mieszanie, wiązanie w pęczki i dopiero jest pakowana do sprzedaży. Jeżeli produkt ma być przeznaczony do wyrobów, które używane będą na mokro (pędzle do farb, golenia) — to szczecina musi być po raz drugi preparowana (gotowana). Odróżnia się następujące gatunki szczeciny: płowa, biała — nieściągana (stock) i zupp — ściągana, extra — biała i śnieżno — biała. Ten ostatni gatunek jest kilka razy bielony, a używany bywa do produkcji szczotek do zębów. Długość włosa również duże posiada znaczenie dla ceny produktu. Najkrótszy włos musi mieć 50 mm. Cena produktu wzrasta proporcjonalnie do długości włosia. Odróżnia się wymiary włosia 55, 60, 65, 70 mm itd., aż do 130 mm (najdłuższy włos, otrzymywany z surówki w minimalnym procencie).

Tyle o samej technice przeróbki. A teraz kilka słów o historii zakładów. Przejęte zostały przez „Społem" od OUL w Poznaniu, w stanie zdewastowanym w 1945 r. Dokonano koniecznych remontów i skompletowano urządzenia kosztem 6 milionów zł. Dodać należy, że urządzenia są systemu niemieckiego, do których nie ma zapasowych części zamiennych. Wiele zatem napraw musiano dokonać we własnym gospodarczym zakresie.

Fabryka ruszyła w styczniu 1946 r. Zasadniczym działem jej produkcji jest przeróbka szczeciny, a dodatkowo prowadzi dział szczotkarski. Przerób szczeciny wynosi 3.000 kg miesięcznie. 80% tej produkcji idzie na eksport do Czechosłowacji, Stanów Zjednoczonych, Danii, Szwajcarii, Palestyny, Holandii i Węgier. Towar polski cieszy się na rynkach zagranicznych dobrą opinią. Dział szczotkarski produkuje miesięcznie ca 20.000 szt. różnych szczotek i pędzli, które idą na rynek wewnętrzny i rozprowadzane są przez oddziały handlowe „Społem". Zakłady zatrudniają 155 pracowników fizycznych i 15 umysłowych W 1947 roku przyniosły nadwyżki około 7 milionów zł.

W tej chwili czynione są przygotowania do uruchomienia nowego zakładu szczotkarskiego w Zielonej Górze przy ul. Krakusa 30. Zakład ten po kapitalnym wyremontowaniu kosztem 10 milionów zł, uruchomiony zostanie z dniem 1 lipca 1948 r. Produkcja szczotek i pędzli wzrośnie o ca 500%, o ile oczywiście nie zawiedzie dostawa surowców importowanych (korzenie ryżowe i inne egzotyczne surowce szczotkarskie) z Chin, Borneo, Południowej Ameryki i Afryki.

DZIESIĘCIOLECIE PRACY

Okręgowego Oddziału Spożywczego „Społem" w Rzeszowie

Oddział Spożywczy „Społem" w Rzeszowie powstał w 1937 r. początkowo jako Składnica, która w 1939 r. została przemianowana na Oddział. Z inicjatywy tegoż Oddziału powstaje na terenie miasta Rzeszowa w 1938 r. Spółdzielnia Spożywców „Powszechna", która dziś posiada 12 sklepów.

Wrzesień 1939 rok przerywa działalność dobrze rozwijającego się Oddziału. Pierwsze bomby niemieckie niszczą doszczętnie biura i magazyny. Już w październiku tegoż roku Oddział wznawia swoją działalność instrukcyjno - gospodarczą oraz przez czas trwania niemieckiej okupacji prowadzi konspiracyjnie pracę oświatowo - wychowawczą w placówkach spółdzielczych.

W połowie lipca 1944 r. kiedy linia frontu przebiegała tuż koło Rzeszowa magazyny Oddziału po raz drugi zostają zniszczone i ograbione. Oddział przerywa pracę lecz nie na długo. Z ustaniem świstu kul przystępuje do pracy by spełnić zadanie nałożone na przygotowany aparat spółdzielczy, zaopatrzenia ludności w artykuły pierwszej potrzeby. Na zarządzenie władz Oddział przejmuje młyn w Staromieściu koło Rzeszowa, fabrykę „Alima" oraz zakłady „Alko" w Rzeszowie.

Rok 1945 — to początek zmagania się gospodarki handlowej. Oddział magazynuje i rozprowadza towary UNRRA, których dziennie zwozi ca 20 wagonów. Rok 1946 — to dalszy rozwój działalności handlowej Oddziału, który zostaje przemianowany na Okręgowy Oddział Spożywczy. Jako Centrala Handlowa zaopatruje 17 Oddziałów powiatowych oraz 100 Spółdzielni. Koniec roku 1946 i początek 1947 r. — to wzmożona praca nad prowadzaniem towarów wolnorynkowych. Współpracując z władzami państwowymi w akcji uzdrowienia rynku, Oddział staje się regulatorem cen i opanowuje rynek przyczyniając się do uporządkowania wymiany towarowej i właściwego zaopatrzenia mas pracujących.

W sierpniu tego roku Okręgowy Oddział obchodzi uroczystość 10-lecia swego istnienia. Reasumując pracę Oddziału Spożywczego w Rzeszowie na przełomie 10 lat widzimy, że niemal wszystkie placówki na terenie Rzeszowa wywodzą się z tej małej składnicy, powstałej w 1937 roku. Ogrom zadań nałożonych na kierownictwo i pracowników Oddziału, dzięki ich rzetelnej pracy i energii oraz zrozumieniu potrzeb dzisiejszej rzeczywistości — dały pozytywne wyniki. Kierownictwo Oddziału spoczywa obecnie w ręku ob. Antoniego Chmury i zastępcy ob. Wawrzyńca Cecota.

SPROSTOWANIE

W Nr 11 zamieszczono na str. 2 zdjęcie nr 57, pod którym błędnie podano podpis: Witunia Szkupówna — winno być „Witold Szkup" (Ziebice.

W Nr 13 w „Sklerozie" w wycinku „Z życia Olsztyńskiego" błędnie podano „półmilionowego kredytu" zamiast „półmiliardowego".

I w tym samym numerze 13 w artykule pt. „Sandomierz — Ośrodkiem szkolenia spółdzielczego" mylnie podano, że Oddział ten zajął w Okręgu Radomsko - Kieleckim „IV miejsce", winno być „VI miejsce"

Na drugiej stronie okładkowej niniejszego numeru wśród konkursowych fotografii „naszej dziecżarni" znajduje się również zdjęcie miłej panieneczki w „bardzo modnej", bo obszernej i długiej spódnicy (Z cyklu: „Poznajemy dzieci całego świata"). Osóbka ta, zajadająca z wielkim apetytem ciastko, to dziecko Krainy Tulipanów — Holendereczka z przedmieścia Amsterdamu, która ma w Polsce — jak dowiedzieliśmy się z listu — szereg wielkich przyjaciół i przyjaciółek.

Autorem fotografii zucha (poniżej), który „mierzy siły na zamiary" i porwał się do likwidacji olbrzymiej buły („Michaś bardzo głodny") jest Tad. Bukowski z Warszawy (a nie Zubrzycki).

NOCE BEZ GNIEWU
CZYLI
„DOM POD OŚWIĘCIMIEM"

Kiedy wychodziłem z teatru po premierze „Domu pod Oświęcimiem", szedłem w tłumie ludzi podnieconych i skłóconych. Jakaś para, idąca obok mnie, przerwała nagle bardzo żywą rozmowę. On machnął ręką, ona wydęła z oburzeniem pogardliwie wargi. Przeciskający się obok mnie dwaj młodzi ludzie byli już także u kresu możliwości dyskusyjnych. Jeden z nich zakończył ją właśnie stwierdzeniem: „Skoro tego nie możesz zrozumieć, znaczy się, jesteś idiota". Poczułem się dotknięty tym sformułowaniem, albowiem i ja nie rozumiałem pewnych spraw w sztuce Hołuja i w/a śnie mogła to być jedna z nich..

Na pociechę pomyślałem, że nie ma co rozdzierać szat z powodu nieudania się dyskusji publicznej w teatrze po premierze. Ona udać się nie mogła. Z góry było wiadomo, że w dyskusji wezmą udział ludzie, mający rutynę w występach publicznych — mówił prokurator, literat, działacz polityczny — natomiast żadna siła nie zmusi tych, o których chodziło, do wejścia na proscenium i mówienia do tysiąca odświętnie ubranych ludzi.

I myślę: miarą wartości sztuki Hołuja jest nie to, co zostało powiedziane w dyskusji na premierowej widowni, ani nawet to, co zostało napisane o niej przez recenzentów, lecz to, co, jak i ile mówią tłumy, wychodzące z Państw. Teatru Polskiego, z „Domu pod Oświęcimiem".

Kłócą się o zasady moralne. Czy Jerzy jest zwykłym draniem, czy draniem szczególnie niebezpiecznym, czy fakt posiadania „spokojnego sumienia" rozgrzesza czy nie; czy Jan miał prawo zostawić swoją córkę na pastwę wychowania przez dwoje ludzi, dla których „papu" i łóżko są jedynymi drogowskazami życiowymi, czy nie; czy Marta mogłaby bez szkody dla problematyki sztuki oraz sceniczności — rzadziej ponosić swoje miłosne ofiary, czy nie?

Sztuka Hołuja posiada szereg wad zarówno z punktu widzenia dzieła sztuki scenicznej, jak i z punktu widzenia „zamówienia społecznego", jakim jest w istocie swojej.

„Dom pod Oświęcimiem" nie stoi pod Oświęcimiem, choć za oknami jego snują się według informacji aktorów dymy i zaduch krematoriów. Stoi nie o dwa kilometry od obozu zagłady, lecz „irgendwo in Schlesien". Sztuka Hołuja jest przecież realistyczna, a realizm na scenie nie znosi nieprawdopodobnych sytuacji, które mogą się nawet zdarzyć w rzeczywistości „w życiu". Akcja „Domu pod Oświęcimiem" z ukrywaniem więźniów, którym udało się zbiec z obozu, z grupą „Ambasadora", chodzącą w pobliżu obozu z automatami, wystającymi z za kurtek, z odbijaniem „haeftlingów" z transportu ewakuacyjnego, to nie jest prawdopodobna nawet w rzeczywistym domu pod Oświęcimiem, nie mówiąc już o realistycznym dziele sztuki.

Mimo tych ustępstw na rzecz zdramatyzowania zagadnień, o które w „Domu pod Oświęcimiem" chodzi, nie udało się Hołujowi wytworzyć atmosfery niezwykłego napięcia, jaka musiałaby w takim „cichym domku" panować. Ludzmi, którzy siedzą zwłaszcza na warszawskiej widowni, nie byłby trudno wstrząsnąć w pierwszym akcie, tak jak się to dzieje w scenie „wizyty" gestapowca w akcie II-gim. Chyba, żeby przyjąć, iż to zwolnienie napięcia było przez autora zamierzone, że działała tutaj ta sama oszczędność w użyciu dramatycznego wyrazu, którą w sztuce Hołuja zauważa się bardzo często.

Nie wszystkie postaci są scenicznie zarysowane do końca. Nawet Jan — „Cezar", główna „persona dramatis", postać wykuta z jednego światopoglądowego kamienia, ma w swoich konturach zygzaki i puste miejsca, przez które ucieka. W chwilach takich Jan staje się kawałkiem papieru, na którym autor napisał w symbolicznych słowach receptę na bohaterstwo. Że jest to prawie niedostrzegalne, dużo w tym zasługi Wyrzykowskiego, a może trochę i reżysera.

Kilka innych postaci rysowanych jest techniką palimpsestu: z pewnych niedokończonych swoich wypowiedzi lub czynów, zaznaczanych bardzo nie wyraźnie, można wnosić, że są innymi ludźmi, niż ci, którymi są wyraźnie „na wierzchu". Tak jest z „foksem" Alojzem, który mieszka w „Domu pod Oświęcimiem", robi forsę na handlu z obozem śmierci, miewa wizyty w Gestapo, wie o tym, co robi Marta, kto jest Jan i... nie wsypuje. Na chwilę przed wykonaniem wyroku śmierci, wydanym na niego przez grupę Jana, Alojz zaskakuje swoich sędziów i widownię rewelacyjnym oświadczeniem, że to wszystko dlatego, że on jest też człowiekiem.

Taka jest Marta, która „po wierzchu" jest dzielną łączniczką, narażoną w dzień i w nocy na rozwalenie, odwracającą kosztem siebie śmiertelną nagonkę folkszturmu i gestapowców na „Dom pod Oświęcimiem". A ten drugi tekst palimpsestu o niej przesuwa podejrzenia aż do awanturniczej erotomanki.

Bo dziewczyna jest wyraźnie za mądra na to, żeby wierzyła, iż stwarza jakiekolwiek gwarancje bezpieczeństwa dla „akcji", dziejących się w „domu pod Oświęcimiem" przez to, że idzie na górę, przespać się z Alojzem. W częste przekupywanie gestapowców przy pomocy takiej samej metody, także widowni nie chce się wierzyć.

Palimpsestowy jest także Jerzy, zwłaszcza w interpretacji Kreczmara. Żeby Kreczmar (mimo przeszkód i swojej niechęci) zrobił z tego Jerzego jakiegoś zmaterializowanego żłoba, jakiegoś niedoszłego raubrittera kapitalistycznego — to by się to wszystko może zgadzało. Kreczmar razem z Hołujem nie pogrążyliby wtedy większości widowni w rozterce, gdy pozwalają Jerzemu, który „opuścił walczącego człowieka", a przed tym zabrał mu żonę i dziecko, powiedzieć w przedostatniej scenie jakiś magiczny frazes o „spokojnym sumieniu".

Dla Jana mamy zaraz po pierwszych o nim słowach „Ambasadora" — uczucia gotowe: gorącą sympatię i szacunek. Jest to jeden z wartościowszych ludzi współczesnej Polski, człowiek, który za Polskę Ludową i Demokratyczną przesiadywał przed wojną w więzieniu, a w czasie okupacji, w normalnym biegu wypadków powinienby za Nią zginąć w Oświęcimiu. Na szczęście, organizuje się jego ucieczkę, która „wychodzi", z czego wszyscy ogromnie się cieszymy. Potem następują słowa i czyny, które z naszym szkicem osoby Jana, sporządzonym po pierwszych scenach, zgadzają się zupełnie, aż do oświadczenia, że „człowiek powinien być całym człowiekiem we wszystkim" włącznie. Zgadzamy się, że nie można być równiez człowiekiem i świnią i że trzeba tu z czegoś zrezygnować, albo z chlewu, albo, powiedzmy, z poezji. Przestajemy Jana rozumieć dopiero przy sprawie własnej córeczki, którą ogromnie kocha i którą, powodowany jakimiś niezrozumiałymi motywami, pozostawia w moralnym chlewiku Marii i Jerzego. Nie aprobujemy także wyroku uniewinniającego, wydanego przez Jana na Jerzego, wyroku, którego podstawą jest oświadczenie Jerzego, że ma „sumienie spokojne". Przecież Jerzy wyraźnie łże, tak samo jak łgał przed ludźmi z organizacji, którym tłumaczył, dlaczego wrócił z Oświęcimia samochodem, nie przywożąc Jana — „Cezara". Prawie z zadrością myśli się o tym, że Salacrou kazałby „Ambasadorowi" bez żadnych skrupułów rozwalić Jerzego o „spokojnym sumieniu". Bo też — „dom pod Oświęcimiem" to są **polskie** „Noce gniewu". A polskie noce gniewu trwają najwyżej — jedną noc.

Bogatą, czasem ponad siły, problematyką obciążone są prawie wszystkie inne postacie dramatu. I matka Franciszka i ksiądz, który inną drogą idąc, spotyka się przy załatwianiu „Sprawy" z Janem, maszerującym po drodze, wytyczonej przez Karola Marksa. Nawet Maria jest „problematyczna", gdy histerycznie krzyczy, że „chce być zwykłym człowiekiem, nie żadną tam bohaterką" i nie zdaje sobie sprawy, że w istocie nie chce być człowiekiem zwykłym, tylko małą świnką.

Trzeba by dla nakreślenia w miarę pełnego obrazu bogatej sztuki Hołuja i spektaklu napisać o zaletach widowiska. O świetnej scen cznośći niektórych fragmentów, o wspaniałej postaci matki Jerzego — Franciszki, o Wyrzykowskim, Zelwerowiczu i innych. Franciszka — Broniszówna ma na szczęście już całą entuzjastyczną literaturę recenzyjną. O innych zaletach „Domu pod Oświęcimiem" także nie ma co pisać. Sądząc po reakcji tych, którzy już sztukę widzieli, założyć można, że zobaczą ją wszyscy, których interesuje teatr, jako miejsce demaskowania człowieka.

„Dom pod Oświęcimiem" jest sztuką z problemami. Z problemami wiecznymi i dzisiejszymi. Jest ciekawie wykonanym „zamówieniem społecznym". Ale wartość dzieła Hołuja nie nie jest problematyczna. To jest Sztuka.

Mieczysław Ziemski



Jedna z solistek zespołu tanecznego Teresy Dobrowolskiej i Z. Dąbrowskiego, znana łyżwiarka. Anna Bursche.
Będzie ona tańczyła w niedzielę 18 bm. o godz 11-ej w Teatrze „Nowym" w Warszawie.

PODHALANIE W AMERYCE

Jeden z przyjaciół „Tygodnia" w USA nadesłał nam szereg wiadomości z życia znacznej grupy Podhalan w Passaie, New Jersey. Górale nasi założyli sobie w tej miejscowości Stowarzyszenie Górali Tatrzańskich, podległe Zarządowi Głównemu Związku Podhalan w Chicago.

W dziesiątą rocznicę działalności (na czele której stoi w latach ostatnich Jan W. Gromada, pochodzący z Rabki), stowarzyszenie wydało pamiętnik pt. „Podhalanin w Ameryce". Pamiętnik, obok przejrzystego sprawozdania z dziesięcioletniej działalności podaje szereg utworów autorów podhalańskich ze „starego" kraju (Wł. Orkan, K. Tetmajer, A. Zachemski) oraz próby piór Podhalan osiadłych lub urodzonych już i wychowanych w Ameryce.

Prezes Jan W. Gromada ma się czym poszczycić, jeśli chodzi o rezultaty działalności stowarzyszenia: w spisie samych przedstawień amatorskich naliczyliśmy kilkanaście sztuk ludowych, które były grane przy różnych okazjach.

Największym powodzeniem cieszą się nietylko wśród Podhalan, ale wśród całej tamtejszej Polonii a nawet rodowitych Amerykan te sztuki, które kończą się tańcami góralskimi. Zespół taneczny J. W. Gromady brał z powodzeniem udział w różnych uroczystościach i popisach, zyskując pełne uznanie. Przyczynił się też do powodzenia niejednej imprezy, zorganizowanej dla uzyskania środków na ogólne cele narodowe polskie. Zespół ma swoją muzykę góralską i występuje w strojach podhalańskich, co wzbudza zawsze gorące oklaski.

Jedno z nadesłanych zdjęć „Tańca Zbójnickiego" reprodukujemy w niniejszym numerze na stronie 16.



Hanna Bielska w roli „Żabusi" komedii Zapolskiej w Miejskich Teatrach Dramatycznych w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcji

Prosimy wszystkich naszych czytelników o wypowiadanie szczerze swoich opinii o „Tygodniu" oraz o nadsyłanie uwag i życzeń, co chcieli by w „Tygodniu" widzieć, jakich autorów, jakie artykuły, rozrywki, zdjęcia itp. W miarę możliwości będziemy się starali zastosować do Waszych życzeń. Piszcie prosto, szczerze, jak do przyjaciół.

P. Tadeusz Sadkowski — Nowy Sącz. — Po zakończeniu konkursu „Dziecka" ogłosimy „konkurs fotograficzny" w którym amatorzy - fotografowie znajdą pole do popisu. Lampy „Photoflux" nabyć można w firmie „Philips" w Warszawie, ul. Zgoda 5.

P. Marian Kądziołka — Nowy Sącz. — Prenumeratę ma Pan zapewnioną do 1 czerwca br.

P. Jan Mielczarek — Łódź. — Bardzo dziękujemy za miły list. Życzymy powodzenia w pracy.

P. Zofia Białodrzewska — Kcynia. — Zdjęcia dzieci nadesłane na konkurs zwrócimy w tym wypadku, o ile jest zastrzeżenie zwrotu i o ile otrzymamy znaczki pocztowe na przesłanie ich.

P. Stanisław Polak — Przemyśl, ul. Czarnieckiego 1. — Za nadesłanie pomysłów dziękujemy. Prenumeratę do Gułowa będziemy wysyłali.

P. Bolesław Bławat — Sępólno, **Nowy Rynek 6.** — Nadesłał Pan wycinek z innego wydania tej książki, dla tego u Pana jest wszystko w porządku, w naszym egzemplarzu — nie.

P. Stanisław Zwoliński — Skarżysko - Kamienne. — Wycinek ten już był w „Sklerozie".

M. Wietrzny — Czchów Zapora Wodna. — Za nadesłane zadania dziękujemy.

P. Bronisława Św. — Lublin. Porady w sprawie kuracji żylakowych dolegliwości udzieli Pani najbliższy lekarz. On również zorientuje Panią niewątpliwie co do najnowszych metod leczenia zastrzykami. Artykuł w „Tygodniu" spełnił już swoje zadanie, zwracając Pani uwagę i innych Czytelniczek na to, że istnieją szybkie możliwości i skuteczne nowoczesne sposoby zwalczania żylaków. Właściwe jednak lecznictwo to już wyłącznie sprawa lekarzy. Dziękujemy za zaufanie i życzymy dobrych wyników kuracji.

P. Gułkowski Zbigniew — Elbląg ul. Próchnika 6—2. Prośbę Pana załatwiliśmy przychylnie.

P. Cz. Zaborowski — Chełmża. P. Edmund Świderski — Łódź, P. R. Filipiak — Piaski. Dziękujemy za nadesłane życzenia.

P. Karina w Końskich. Owszem warto pisać. Wiersz niezły, tylko zbyt egotyczny. Ponieważ nie rozporządzamy miejscem na wiersze więc radzimy zwrócić się w tej sprawie do Redakcji „Nowin Literackich" lub „Odrodzenia" w Warszawie, „Kuźnicy" w Łodzi, albo „Tygodnika Powszechnego" w Krakowie.

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Zagadki 32 i 33 były na prośbę wielu naszych czytelników trudniejsze i dlatego przyniosły mniejszą ilość odpowiedzi, a w dodatku różnorodnych i błędnych. Dlatego postanowiliśmy znów dawać zagadki łatwiejsze, aby umożliwić młodzieży wzięcie udziału w ich rozwiązaniu.

Rozwiązanie 32 winno brzmieć:

„Po dzieci gołąb w ogień leci"

a 33:

„Nie rusz świni z błota, kiedy jej tam dobrze".

Niewyzyskane nagrody przeznaczamy na następne zadania.

Powyżej podajemy zagadkę Nr 36 za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

10 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA".

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa 30 kwietnia br.

ZAGADKA

Jaka liczba dzielona przez 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 10 daje zawsze pozostałość 1?

SZARADA

Łamać się pewnie będą wam dziś
drugie trzecie
Zanim w końcu tę krótką szaradkę
zgadniecie,
Że **pierwszych drugich** wszędzie
używają,
I taki sam **całe** użytek nam dają;
Tych **całych** używają w całym świecie
prawie,
A są znów inne **całe** jedynie
w Warszawie.

ANEGDOTA HISTORYCZNA

Kup pan Paganiniego!

Kiedy znakomity skrzypek Paganini był w Wiedniu, zaczepił go na ulicy sprzedawca figurek gipsowych wołając:

— Kup pan Paganiniego!

Paganini rzuciwszy okiem na swoje gipsowe karykaturki, wzruszył ramionami i chciał iść dalej.

— Kup pan Paganiniego! — powtarza za nim natrętny sprzedawca.

— Idź do diabła! — krzyknął na niego artysta — ja siebie nie kupuję, lecz sprzedaję.

WIOSENNY KONKURS
NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy nowy konkurs na rozrywki umysłowe, który trwać będzie do dnia 16 maja br. Termin nadsyłania rozwiązań upływa 1 czerwca br.

Za rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych, którzy rozwiążą chociaż jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia — również książkowych.

Wraz z rozwiązaniem prosimy nadsyłać opinie, które zadania są najlepsze. Za trzy zadania najlepsze wytypowane przez Czytelników, przyznane będą trzy specjalne nagrody książkowe. Prosimy o nadsyłanie nowych projektów.

ARYTMOGRAF

W kręgi koła należy wpisać cztery wyrazy, zastępujące cyfry literami. Następnie litery te podstawić pod cyfry w prostokącie i odczytać poziomo rozwiązanie. Kierunek wpisania wyrazów w kręgach oznaczamy strzałką. Znaczenie wyrazów w kręgach koła:

1. Szczyt w Himalajach, 2. Nagła zmiana losu, 3. Szczep starogrecki, 4. Dopływ Dunaju.

Marmisz (Częstochowa)

1	10	15	18			19	13	2	2
2	15	11	7	3	2	1	1	2	8
7	13	10	12	5	13	5	3	1	8
11	14	13	7	5	6	11	17	15	11
19	14	3	2	15	10	16	4	5	13
14	3	6	11	15	19	5	13	18	14
13	9	16	7	3	6	1	6	11	18

ZAGADKA LITERACKA

Do powyższej figury wpisać 12 nazwisk polskich pisarzów(rek) współczesnych. Litery oznaczone krzyżykiem czytane z góry na dół dadzą tytuł powieści pisarza w ósmym rzędzie poziomym.

wł. „Ael"

Kącik BRIDŻOWY

♠ 7.4
♥ K.3.2
♦ K.6.3
♣ K.10.9.8.7

W: ♠ D.W.10.9 ♥ W.10 ♦ 8.2 ♣ A.W.6.5.4

E: ♠ 4.3.2 ♥ D.9.8.4 ♦ D.W.10.9 ♣ 3.2

S: ♠ A.K.8.6 ♥ A.7.5.4 ♦ A.5.4.2 ♣ D

Rozwiązanie zadań bridżowych z Nr 14.

Zam .nr 604 Rozwiązanie zadań bridżowych z Nr 14.

1. „S" gra następująco: Dama trefl, jeżeli „E" przebije, to zabije małym pikiem jeżeli nie — zrzuca 9 karo i gra trefle jeszcze raz i przebija.

Następnie zgrywa wszystkie piki i gra asa i damę karo „E" po zabiciu królem karo musi wyjść w kiery. Jeżeli „E" zrzuci króla karo na asa, to „S" zgrywa damę karo i gra asa i małe kier. „E" musi waleta zabić i zagrać w widły kierowe.

2. „S" musi poprowadzić tak grę, żeby przechodząc do stołu na atu przebić trefle w ręce. Po dojściu do „N" trzecim kierem zgrywa ostatnie atu. „E" będzie na przymusie. Jeżeli wyrzuci pika to „S" wyrzuci karo z ręki, gra 5 pik i nie bije, mając następne dwie lewy. Jeżeli „E" zrzuci karo, „S" zagrywa małe karo i ma następnie dwie lewy na karo

ODPOWIEDZI:

Mistrz Spółdzielca w Elblągu i p. A. B. z Jeleniej Góry. — Bardzo dziękujemy za listy. Ze względów niezależnych od Redakcji rozwiązanie zadań ukazało się z pewnym opóźnieniem. Jeżeli nam miejsce pozwoli, postaramy się drukować „Kodeks". W każdym razie zawsze chętnie służymy wyjaśnieniami.

O ile nie podajemy wyjścia w zadaniu, to znaczy, że przy każdym zagraniu gra musi być wygrana.

SZCZYPAWKA?

W ubiegłym tygodniu nagrodę w postaci książki Marka Sadzewicza pt. „Oflag" otrzymała p. Irena Chromińska (Łódź, ul. Perla 5 m. 16).

IMIENINY KOREKTORKI

„Rzeczpospolita" w numerze 79 1288 w notatce, mówiącej o postępach ZSRR w produkcji energii elektrycznej pisze:

„W roku 1940 Związek Radziecki wysunął się 1 MIEJSCE NA ŚWIECIE I NA 2 W EUROPIE, osiągając produkcję 48 miliardów kWh.

W chwili obecnej radziecka produkcja energii zajmuje PIERWSZE MIEJSCE, wysunął się NA 3 MIEJSCE NA ŚWIECIE. (zd)

Oczywiście, autor notatki p. (zd) nic tu nie zawinił; wygląda na to, że drukarz składający notatkę i redaktor techniczny, obchodzili zbyt intensywnie imieniny korektorki. Bezstronnie przyznać trzeba, że drukarz miał jednak przebłyski świadomości, czego dowodem jest fakt, że urwał notatkę w połowie zdania, gdy zorientował się, że nie wybrnie z trudności klasyfikowania radzieckiej energetyki.

A TO CHYTRZY — CI ANGLICY

„Ekspress Wieczorny" w nr 77 z dn. 19.III.1948 r. donosi:

„Posłowie Labour Party, Crossmann i Wigg PRZYBYLI DO GRECJI, ABY ZAPOZNAĆ SIĘ Z SYTUACJĄ W CZECHOSŁOWACJI".

Po wykonaniu perfidnego planu mają zamiar udać się na biegun północny, aby naocznie zapoznać się z sytuacją na biegunie południowym. (Nadesłał Stefan Stroński z Przemyśla).

W KTÓRYM ROKU ZABRAKNIE NAM CHLEBUSIA?

Poważną troską co do „chleba naszego powszedniego" napawa lektura artykułu pt. „O przyszłe plony", zamieszczonego w „Dzienniku Bałtyckim" nr 81 z dn. 23.III.1948 r. Oto podstawy troski — Dziennik Bałtycki pisze:

„W roku gospodarczym 1947 48 UPRAWIMY PRAWIE 14 TYS. HA. Ilość ODŁOGÓW ZMNIEJSZA SIĘ Z KAŻDYM ROKIEM, PRZECIĘTNIE O 800 TYS. DO MILIONA HA.

Autora notatki pytamy z bólem w głosie: co się dzieje z tą naszą ziemią, skoro mimo powiększania jej powierzchni uprawnej przeciętnie rocznie o milion ha doszliśmy w ciągu trzech lat naszej gospodarki zaledwie do 14 tysięcy ha. Tu się dzieją jakieś potworne nadużycia! Dzwonimy na alarm!

Nadesłał Jan Dziura, Lębork).

PROSIMY O UZUPEŁNIENIE ODPOWIEDZI

Rubryka „Odpowiedzi ogrodniczych" w nr 38 (77) „Rolnika Polskiego" zawiera odpowiedzi intrygujące i domagające się dodatkowych wyjaśnień. Autor „odpowiedzi" pisze:

„Są odmiany agrestu, które ZE SWEGO PRZYRODZENIA WYDAJĄ drobny OWOC i ŻADNE ŚRODKI NIC NIE POMOGĄ".

A gdyby tak, takiemu bezwstydnemu agrestowi zaaplikować jakieś środki, zapobiegające ciąży? Niech wtedy spróbuje wydawać owoce ze swego przyrodzenia.

1 2 3 4 5 6

Należy rozpoznać, które z tych rysunków są do siebie zupełnie podobne.

Higiena i ZDROWIE

O WCZEŚNIAKACH

Wcześniakami nazywamy dzieci urodzone przedwcześnie z tych czy innych przyczyn, których tutaj poruszać nie będziemy. Ogólnie stwierdzono, że wcześniaki ważące przy urodzeniu poniżej 750 gr nie mogą być utrzymane przy życiu. Im mniejsza jest ich waga — tym większe trudności z wychowaniem, mimo najstaranniejszej opieki i pielęgnacji.

Wcześniactwo powoduje opóźnienie rozwoju, zresztą wyrównujące się przeważnie około 3 — 4 roku życia.

Wcześniaki są b. skłonne do krwotoków mózgowych, przepuklin i przedłużającej się zwykle żółtaczki poporodowej. Charakterystyczna dla wcześniaków jest niezdolność regulowania własnej ciepłoty, wskutek czego występują u nich naprzemian wysokie (40 stopni) i niskie temperatury (35) ciała.

Wcześniaki rodzące się w 28 tygodni o wadze około 1,2 kg i długości 34 cm mogą się przy odpowiedniej opiece rozwijać prawie dobrze. Naturalnie o utrzymaniu przy życiu takiego dziecka decyduje głównie pielęgnacja i odżywianie pokarmem kobiecym, pod stałym ogólnym nadzorem lekarza - pediatry.

Wielki nacisk przy pielęgnowaniu wcześniaków kładziemy na dobrą regulację ciepła, gdyż u każdego wcześniaka, jak już powiedzieliśmy, występują zaburzenia w „gospodarce cieplnej". Każde oziębienie może być katastrofalne i dlatego jest konieczne utrzymywanie temperatury pokoju, w którym dziecko przebywa, w stałych ramach 20 — 25 stopni C.

Po kąpieli (które są stosowane b. ostrożnie i w obecności lekarza) kładziemy wcześniaka w dobrze ogrzaną koszulkę i pieluszki. Osłabiony wcześniak stale leży zawinięty w watę, przy czym co 3 godziny kontrolujemy temperaturę w kiszeczce, a gdyby się okazało, że ciepłota spadła poniżej do puszczalnej, natychmiast przystępujemy do jej podniesienia za pomocą gorących butelek, termoforów lub elektroforów, co daje się przeprowadzić w każdym domu. dążymy do tego, aby temperatura pod kołderką wynosiła 30 — 32 stopni C. Należy tu podkreślić, że temperatura w kiszeczce musi być stale kontrolowana, gdyż może również nastąpić przegrzanie ciała, nie mniej szkodliwe od niedogrzania.

Ze względu na różnicę temperatur w pokoju i na wolnym powietrzu, wynosimy noworodka — wcześniaka z domu dopiero po osiągnięciu normalnej wagi tj. przy 3 kg.

Drugą ważną troską wychowawczą w stosunku do wcześniaków jest racjonalne i należyte odżywianie. W grę w tym wypadku wchodzi tylko odżywianie pokarmem kobiecym. Wcześniak zazwyczaj nie ma siły ssać, zachodzi więc konieczność odstrzykiwania piersi pompką i karmienie przez smoczek lub też łyżeczką, a nawet pipetką przez nosek. Gdyby się okazało, że niemowlę łykać nie potrafi, zachodzi wówczas konieczność odżywiania zgłębnikiem, wprowadzanym przez jamę ustną do żołądka.

Wcześniaki są bardzo skłonne do krzywicy i dlatego też rozpoczynamy już od drugiego miesiąca życia zapobiegawcze podawanie tranu lub środków zastępczych i naświetlanie lampą kwarcową.

Jak więc widzimy, wychowanie wcześniaka nie jest sprawą łatwą, wymagającą nie tylko matczynego mozołu i poświęcenia, ale i stałej opieki doświadczonego lekarza - pediatry.

Dr med. B. M.



KĄPIELE PRZEMIENNE

Dlaczego „wojując" ze zmarszczkami stosujemy kąpiele przemienne?

Woda ciepła lepiej od zimnej usuwa brud, kurz, pot i wydzieliny gruczołów łojowych, pobudza dopływ krwi do skóry, wywołując lepsze jej odżywianie. Z drugiej jednak strony — woda ciepła wydelikaca nadmiernie skórę, czyni ją mniej jędrną i mniej sprężystą. Woda zimna zaś odwrotnie — gorzej oczyszcza skórę, ale zato czyni ją odporną, świeżą, elastyczną i młodą.

Chcąc połączyć zalety działania jednej i drugiej, stosujemy tzw. kąpiele przemienne. Mają one doniosłe znaczenie w kosmetyce, jako zabieg pobudzający krążenie krwi w skórze, odświeżający ją, oczyszczający i hartujący.

Kąpiele przemienne stosuje się w sposób następujący: przygotować dwie miednice — jedną z wodą gorącą drugą z zimną. Do gorącej wsypuje się łyżeczkę boraksu do zimnej parę kawałeczków lodu. W wodzie jednej i drugiej należy zamoczyć dwa lniane płatki, złożone w kilkoro, i — wpierw gorący płatek, a potem zimny przykładać na twarz, zmieniając okłady co dwie minuty — 6 — 8 razy. Rozpoczynamy zabieg od okładu gorącego, a kończymy na zimnym. Po ostatnim okładzie bierzemy kawałeczek lodu i przecieramy nim twarz, a przede wszystkim miejsca skłonne do zmarszczek tj. czoło, kąciki oczu i fałdy policzkowe.

FARBOWANIE TKANIN SPOSOBAMI DOMOWYMI

Tak jak i przy każdej pracy domowej zdarzają się i przy farbowaniu najrozmaitsze niepowodzenia. W takich wypadkach dopatrujemy się zazwyczaj przyczyny niepowodzenia w gatunku barwnika. Jest to całkowicie niesłuszne, gdyż barwniki przed wypuszczeniem ich do sprzedaży są poddawane skrupulatnej kontroli i próbom farbowania. Niepowodzenia prawie z reguły wynikają z nieścisłego stosowania się do przepisów, dołączanych do markowych barwników.

Wymieniamy szereg niepowodzeń, na które najczęściej skarżą się panie domu:

Smolenie ufarbowanej tkaniny. Jeżeli ufarbowana tkanina smoli, znaczy to, że była źle spłókana. Należy ją wypłókać [illegible] 2 gr sody na 100 gr tkaniny.

Przy farbowaniu na kolor czarny występuje metaliczny **brązowy odcień.** W danym wypadku użyto zbyt dużo barwnika. Tkaninę należy dokładnie wypłókać w ciepłej wodzie mydlanej. Tak samo postępuje się i z innymi zbyt intensywnie ufarbowanymi tkaninami.

Ufarbowana tkanina kurczy się. Jeżeli tkanina po ufarbowaniu kurczy się, należy ją jeszcze raz wypłókać w ciepłej wodzie, dodając nieco cukru, a następnie wilgotną rozpiąć na powierzchni stołu za pomocą szpilek.

Przefarbowanie mocno kolorowej tkaniny. Chcąc przefarbować mocno kolorową tkaninę na kolor zupełnie odmienny, należy ją przed farbowaniem dobrze uprać w gorącej wodzie mydlanej, aby osłabić kolor pierwotny; w ten sposób zapobiega się wywieraniu wpływu starego koloru na nowy. Jeżeli taka tkanina została przefarbowana bez uprzedniego wyprania i nowe farbowanie wypadło niepomyślnie — należy ją uprać w gorącej wodzie mydlanej i farbować jeszcze raz. Tak samo postępuje się przy nierówno spłowiałej tkaninie, która po ufarbowaniu wykazuje smugi.

Jak uniknąć niepowodzeń przy farbowaniu białej wełny. Białą wełnę należy koniecznie przed farbowaniem gruntownie wyprać za pomocą mydła, aby usunąć apreturę i wszelkie obciążenia. Nieuprana wełna tylko w wyjątkowych wypadkach daje się dobrze ufarbować.

Jak uniknąć niepowodzeń przy farbowaniu białej bawełny. Przy farbowaniu białych tkanin bawełnianych, zwłaszcza białych pończoch i batystów na kolory ciemne — bardzo trudno osiągnąć dostatecznie intensywny kolor, szczególnie czarny. Dzieje się tak dlatego, że bawełniane materie dla nadania im białości są specjalnie preparowane (bejcowane) i z biegiem czasu twardnieją. Do farbowania tych tkanin należy użyć podwójnej ilości barwnika, dodając nieco sody, i pozostawić je w roztworze na przeciąg kilku godzin.

*

Po omówieniu sposobów barwienia domowego, musimy dodać kilka zastrzeżeń. A więc, że eksperymentować z farbowaniem „własnym przemysłem" można tylko wtedy, jeżeli się niewiele ryzykuje tj. jeżeli przedmiot farbowany nie przedstawia zbytniej wartości. Przed domowym barwieniem tkanin cenniejszych, o ile się nie ma odpowiedniego doświadczenia, jak najusilniej panie przestrzegamy. W takich wypadkach najlepiej powierzyć barwienie dobrej zawodowej farbiarni.

M. U.

ZIOŁA TO ZDROWIE

Chociaż starzenie się, jest procesem naturalnym, to starość nie jest chorobą, lecz koniecznością nieodwołalną i przygotowaniem do fizjologicznego kresu życia.

Początek starości jest jednak granicą ruchomą i starzenie się jest konstytucjonalne, w niektórych rodzinach następuje ono wcześniej, a w innych później. Nie da się jednak zaprzeczyć, że tryb życia, walka o byt, choroby zakaźne, nadużywanie szkodliwych substancji, niekiedy nadmierne palenie, jak również nieumiejętne zużywanie organizmu — przyśpieszają proces starzenia się. Odgrywają tu również ważną rolę wpływy psychiczne.

Wstrząsy psychiczne niejednego rześko wyglądającego człowieka prędko, nieraz „przez jedną noc" zamienić mogą w starca.

Najważniejszym sposobem zachowania młodości i zdrowia jest zapobieganie chorobom.

Do chorób, które w pierwszym rzędzie atakują starszych ludzi, należy miażdżyca tętnic.

Przyroda do walki z tą chorobą dała nam:

Jemiołę (liście i gałązki). Jest to roślina pasożytnicza wyrastająca na gałęziach różnych drzew: brzóz, topoli, wierzb, grusz, jabłoni, lip, sosen itp. W zimie gdy drzewa, na których pasożytuje jemioła, utracą liście, zielone krzaki tego pasożyta rzucają się odrazu w oczy.

We Francji i w Anglii w dzień Bożego Narodzenia krzaczek jemioły musi znaleźć się w każdym domu, tak jak u nas choinka.

Ostatnie badania lekarzy francuskich i innych stwierdziły, że jemioła wywołuje wyraźne i dość trwałe obniżenie ciśnienia krwi, powodując rozszerzenie obwodowych naczyń krwionośnych. Dziś więc stosują jemiołę i przetwory z niej w różnych wypadkach nadciśnienia i zaburzeń naczynioruchowych, a więc przy arteriosklerozie, duszności bolesnej, zaburzeniach klimatycznych, krwotokach wewnętrznych itd.

Surowiec należy używać świeży, gdyż ten przy dłuższym leżeniu lub złym przechowywaniu traci własności. Przyrządzać trzeba wyciągi na zimno, a mianowicie łyżkę stołową na filiżankę wody. Pić po łyżce stołowej 3—4 razy dziennie.

Rosiczka (ziele). Jest to roślina owadożerna i rośnie na torfowiskach i bagniskach. Stosują rosiczkę przy arteriosklerozie, często w mieszance z jemiołą.

Ziele rosiczki, jak również i preparaty z niego są znakomitymi środkami przeciwkurczowymi, stosowanymi w krztuścu i dychawicy oskrzelowej. Rosiczka okazała się prawie swoistym lekiem w pewnych schorzeniach gruźliczych, jak: gruźlicze zapalenie gruczołów szyjnych, gruźlicze schorzenia kości, gruźlicze zapalenie otrzewnej. Stosują ją również w tzw. stanach przedgruźliczych.

Rosiczkę podaje się jako napar wodny (20,0—200,0) po łyżeczku 3 razy dziennie lub jako nalewkę spirytusową (1:5) w dawce od 5—10 kropli. W leczeniu sklerozy bardzo skuteczny jest **czosnek,** który już uprzednio opisywaliśmy.

Do chorób starszego wieku należą również cierpienia narządu trawienego. Spowodu wiądu błon śluzowych następuje niedokwasowość i bezsok żołądkowy, mięśnie jelitowe stają się bezwładne, ruchy robaczkowe słabe, stąd atonia kiszek i wzdęcia, częste odbijanie, gazy i wiatry. Do walki z tymi cierpieniami posiadamy oprócz znanych już nam roślin, jak: mięta, rumianek, arcydzięgiel, melissa i tatarak, jeszcze:

kminek (owoce). Należy on do środków wiatropędnych, jednocześnie ułatwia trawienie i pobudza perystaltykę jelit.

Napary przyrządzać trzeba z łyżki zgniecionych owoców na szklankę wrzątku. Pić ciepły napar 3 razy dziennie po szklance. Poza tym kminek jest przyprawą do mięsa, serów i pieczywa.

Pietruszka (nasienie, korzeń i liście). Korzeń i liście posiadają słabsze działanie niż owoce. Nasienie pietruszki w przypadkach nadmiernej fermentacji jelitowej daje doskonałe wyniki, jednocześnie jest dobrym lekiem moczopędnym, regulującym wydalanie moczu u starszych osób. Przyrządzić napar i zażywać jak kminkowy.

Lubczyk (korzeń). Roślina hodowana w kraju. Posiada działanie moczopędne i wiatropędne. Stosuje się przy niestrawności i atonii jelit.

Przy zatrzymaniu gazów należy zaparzyć łyżkę deserową drobno pokrajanego korzenia pod przykryciem w filiżance wrzątku i zażywać 3 razy dziennie. Z pokarmów wykluczyć trzeba cebulę, rośliny strączkowe, surowe gruszki, które wzmagają produkcję gazów. W medycynie ludowej korzeń lubczyka uchodzi za środek pobudzający popęd płciowy. W przemyśle środków spożywczych używa się do wyrobu kostek bulionowych.

Chroniczny katar oskrzeli jest również bardzo często cierpieniem starczym. Gruźlica u starców nie jest wcale rzadkością i jej długi maskowany przebieg jest niebezpiecznym źródłem szerzenia gruźlicy. W tych przypadkach ulgę przynoszą i leczą:

Pączki i młode pędy sosnowe. Posiadają one działanie wykrztuśne, napotne, moczopędne i żółciopędne. Kiełki sosnowe zawierają około 21 proc żywicy i około 25 proc. olejku o głównym składniku — terpentynie. Dzięki tym balsamicznym składnikom, mocny napar z nich łagodzi bardzo przebieg przewlekłych nieżytów oskrzelowych i cierpień gruźliczych.

Aforyzmy o kobiecie

Ażeby dać pojęcie o piękności aniołów, wyobrażają ich w postaci kobiet.

Otway

Najgłupsza z kobiet, jeżeli tylko nie jest zakochaną, ma więcej rozumu od rozkochanego mężczyzny.

P. J. Stahl

Na stu mężczyzn znajdziecie zaledwie jednego rozsądnego; na sto kobiet — zaledwie jedną głupią.

M-me de Girardin

Wszystkie rozumowania mężczyzny nie warte są jednego uczucia kobiety.

Voltaire

Najgłupsza z kobiet zrozumie dokładnie miłość, najinteligentniejszy mężczyzna pojmie ją zaledwie w połowic.

M-me C. Fée

P-49079

Modele i fotografie: „Woman's Journal", „Vogue" i „Ambassador" — Londyn.

GDY ZAKWITNĄ BZY

„Jupe-culotte'y" wracają... Narazie — jako strój na wycieczki zamiejskie, do roweru przy pracy w ogródkach i t. p.
(Fot. Brit. Emb.)

Z SZEROKIEGO świata



14 kwietnia 1930 roku zmarł genialny poeta radziecki Włodzimierz Majakowski. Jego utwory zyskały sobie sławę światową.



W Palestynie wciąż leje się krew... Na zdjęciu widzimy patrol gwardii arabskiej na ulicach Jerozolimy. W szeregach tej gwardii obok Arabów służą też zbiegli jeńcy niemieccy.



Panna Pechard jest pierwszym sędzią - kobietą we Francji.



Liliputi pokój kąpielowy dla małych czyściochów.



Czyż to końskie dziecię nie zasługuje na sympatię? Patrz reportaż wewnątrz numeru.



„Wytworny pan" w zuluskim wydaniu.



Sensacją Paryża była „noc wachlarzy" w Domu Ameryki Łacińskiej. Piękne meksykanki prezentują wachlarze wszystkich stylów i epok.



Barbara Hates to jedna z najbardziej emocjonujących „Przygód don Juana" w filmie pod tym tytułem.



„Zbojnicki" w Stanach Zjednoczonych zdobył sobie rekordowe powodzenie. Patrz wewnątrz numeru artykuł „Podhalanie w Ameryce.



Francuski Rożnów. Olbrzymia zapora wodna na Rodanie, jedna z największych na świecie, która wkrótce dostarczać będzie Francji 1.800.000 kw. elektryczności. Na zdjęciu — moment próby pierwszego stawidła.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 86-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 90 zł., półroczna 520 zł., roczna 1000 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.

R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakł. Wklęsłodruk. R. S. W. „Prasa", W-wa